

TYGODNIK ILLUSTROWANY



KLEOPATRA (z „Salonu” paryskiego 1909)

STANISŁAW CZARNOWSKI

SZYMON ASKENAZY:

Z niedawnej przeszłości.

Wypadki rosyjskie 1905/6 r.—jakże niedawna to przeszłość, a jakże dziś wydaje się daleką. Zaś bardziej jeszcze od samych wypadków wydaje się dziś odległą psychika owoczesna. Wbrew zasadzie, iż „historia nie zna przeskoków”, *historia non facit saltus*, możnaby zaiste mniemać, że, w tem właśnie przesileniu wyjątkowym, nastroje publiczne w Rosji raptownymi zmieniały się skokami. Dotyczy to, między innymi, również i nastrojów w sprawie polskiej. Tem bardziej byłoby pożądanem, aby spostrzeżenia i doświadczenia, poczynione podówczas przez świadków najpowołańszych, t. j. czynnych przedstawicieli politycznych naszych, działających onego czasu na terenie rosyjskim, zostały zachowane w postaci autentycznej, dla własnej pamięci i nauki naszej. Niechaj narazie wolno będzie zgoła niepowołaanemu, przygodnemu zupełnie świadkowi zapisać na tem miejscu jeden drobny, lecz symptomatyczny epizod.

Pod koniec lata 1905 r. bawiłem w Petersburgu; rozpoczynałem w archiwach tamiecznych studia źródłowe nad *Lukasińskim* i *Założeniem Królestwa Polskiego*. Śród wielu świątliwych i życzliwych Rosyan, którzy w niełatwych tych poszukiwaniach z chętną przychodzili mi pomocą, najskuteczniejszego poparcia doznałem wtedy ze strony generał-adjutanta Ottona v. Richtera. Przy pierwszym widzeniu się powiedział mi: „żywię oddawna szczerze sympatyje dla Polski, mam nawet dla niej obowiązki, gdyż właściwie—dodał z uśmiechem—jestem dzieckiem waszej rewolucji listopadowej”. Objął mnie mianowicie, że urodził się w Warszawie, w 1830 r., nakrótko przed wybuchem rewolucji. W rzeczy samej, ojciec jego, generał-lejtnant Borys v. Richter, rodem ze starej szlachty inflanckiej, był za Królestwa Kongresowego dowódcą gwardyi rosyjskiej, konsystującej w Warszawie; ceniony przez W. Księcia Konstantego, cieszył się on zarazem zasłużonym szacunkiem w towarzystwie warszawskim i kołach wojskowych polskich; wieczorem 29 listopada 1830 r., znajdując się na przedstawieniu w Teatrze Narodowym, został uwięziony przez młodzież rewolucyjną. Generał-adjutant Richter z wysokim uznaniem wspominał o rycerskiej uprzejmości, okazanej wtedy jego ojcu i całej rodzinie w czasie niewoli przez władze rewolucyjne polskie, a w szczególności przez dyktatora Chłopcickiego, oraz prezesa Rządu Narodowego, Adama ks. Czartoryskiego.

Sam on służył pierwotnie, za cesarza Mikołaja I, w huzarach gwardyi, uczestniczył w kampaniach węgierskiej i sewastopolskiej i w walkach na Kaukazie. Za cesarza Aleksandra II, jako fligeladjutant i naczelnik sztabu gwardyi, był wysłany w 1866 r., podczas wojny prusko-austriackiej, w misji poufnej, z pismem odręcznym monarchy do cesarza Franciszka-Józefa; w 1871 r. został

generał-adjutantem i dowódcą dywizyi, w 1879 roku, dowódcą korpusu. Za cesarza Aleksandra III, mianowany generałem piechoty i członkiem Rady Państwa, był od 1881 r. komenderującym Główną Kwarerą J. C. M., a od 1883 r. zarządzał wydziałem próśb na imię Najwyższe; na tem ostatniem stanowisku częstokroć szlachetnem odznaczył się wstawiennictwem za nieszczęśliwymi petentami polskimi w trudnej owoczesnej dobie. Odtąd zaliczony był do generał-adjutantów, asystujących przy osobie Najjaśniejszego Pana, powszechnem otoczony poważaniem dla nieskazitelnego charakteru i światłego sposobu myślenia. Pomimo podeszłego wieku niezmiernie uczynny, interesujący się żywo przeszłością dziejową, dzięki rozległym swoim stosunkom ułatwił mi on wistocie przystęp do niektórych najważniejszych, a dotychczas zamkniętych przede mną zbiorów archiwalnych petersburskich.

Na parę dni przed wyjazdem udałem się, razem z bawiącym wtedy w Petersburgu ś. p. Adamem ordynatem Krasińskim, do generała Richtera, by podziękować mu za doznaną pomoc. Rozmowa zesłała wnet na grunt bardziej aktualny od moich badań przedstuletnich, a mianowicie na palącą wówczas sprawę zakwestyonowania, przez pierwotny manifest o Dumie Państwowej, ilości mandatów poselskich, a nawet samego terminu czynności przedstawicielskiej Królestwa Polskiego. Hr. Krasiński rozumnie i pięknie, we właściwym sobie tonie szlachetnym, oświetlił tę sprawę arcyważną. Zapytany z kolei przez gospodarza, co myślę w tej materii, mogłem oczywiście tylko potwierdzić trafne wywody ordynata; zarazem jednak dałem się pociągnąć przez sam przedmiot do wyłuszczenia szeregu cisnących się na usta uwag ogólniejszych o położeniu naszym w powszechności i całym dotychczasowym zakroju polityki polskiej rządu. Być może, nieco się uniosłem; pamiętam, że na wychodnem ordynat wyraził mi obawę, czyli życzliwego gospodarza bądź co bądź nie mogły urazić tak gorzkie, niestety, wynurzenia.

Wyznać muszę, że również nie byłem wolny od podobnej obawy, kiedy we dwa dni potem, w przeddzień wyjazdu z Petersburga, odebrałem kartkę od generała Richtera, proszącą o przybycie do niego tegoż dnia między 6—7 popołudniu. Zastałem generała samego. Powiedział mi, że to, co usłyszał zesłłym razem, dało mu do myślenia; że te rzeczy, dla nas widocznie zwyczajne, są przecie mniej znane w Petersburgu; że powinnyby jednak, jego zdaniem, być dokładnie wiadome i uwzględnione „w miejscu wyższem”, „miarodawczem” (użył kilkakrotnie wyrażenia: „*en lieu supérieur*“, „*lieu compétent*“), do czego mianowicie pragnąłby przyłożyć się osobiście. „Ale — dodał — jestem człowiek stary, i wielu powołanych tu przez pana szczegółów, na których zależy najwięcej, moja stara głowa nie zapamięta.” Wyraził tedy życzenie, abym poprzednie uwagi ustne złożył w formie zapiski, którą on mógłby niezwłocznie przedstawić w owem „miejscu kompetentnem”; prosił przytem o taką samą w tej zapisce, jak i w poprzedniej rozmowie, otwartość zupełną, ręką słowem

za wszelkie skutki. Podkreślił zarazem z naciskiem własne najlepsze dla Polski życzenia; oświadczył, że zarówno w odbytych kampaniach, jakoteż w czasie pokoju, jako dowódca dywizyjny i korpuśny, w podkomendnych sobie Polakach nauczył się cenić najwyborniejszy materiał żołnierski i oficerski; wreszcie wyraził przekonanie, że sanacya sprawy polskiej w duchu liberalnym pierwszorzędnej jest wagi dla całej polityki wewnętrznej i zewnętrznej Rosyi, i że w tej sprawie, jak każdej innej, „służąc prawdzie i sprawiedliwości, spodziewa się najlepiej służyć swemu monarsze i Rosyi” („*c'est ma conviction intime, que dans votre affaire, comme en toute chose, je ne saurais mieux servir la cause de mon Empereur et de la Russie, qu'en servant celle de la justice et de la vérité*“).

Odpowiedziałem, że z powodu wyjazdu, którego odłożyć nie mogę, niepodobna mi służyć żądaniem pismem natychmiast, że jednak nadeślę je niezwłocznie z Warszawy. Zastrzegłem zresztą, że będzie to w każdym razie li tylko wyraz czysto osobistej opinii prywatnego człowieka, nie zajmującego się polityką i nie mającego zgoła żadnego tytułu do przemawiania w czyjemkolwiek innym, jak własnym, imieniu. Istotnie, zaraz po powrocie do Warszawy, w końcu sierpnia t. r., nakreśliłem żadaną zapiskę (*notice*) i posłałem na ręce generała Richtera, przy liście, stwierdzającym wyraźnie, że czynię to, stosując się do jego życzenia („*me conformant au désir exprimé par V. E.*“), a nie z własnej, niepowołanej inicjatywy.

Zapiska na wstępie podkreślała fakt, iż ze strony rządu, w istniejącem przesileniu państwowem, „sprawa polska wogóle, a Królestwo Polskiego w szczególności, zostaje rozmyślnie odsuwana na plan dalszy. Zostaje zniwelowana do pojęcia jednej z wielu, przeciętnej kwestyi administracyjnej. Rzuconą między rozliczne kwestye „kresowe”, „inorodcze”, finlandzką, ormiańską, łotyską, żydowską i t. d., stawianą spótrzędnie z niemi, albo nawet na szarym poza niemi końcu.

„Jest to błąd zasadniczy. Co gorzej, jest to szkodliwa i niebezpieczna fikcja. Sprawa polska, jak była zawsze, tak obecnie, w wyższym jeszcze, niż kiedykolwiek stopniu, przedstawia się dla Rosyi, jako pierwszorzędna, całkiem *à part* sprawa polityczna. Taką jest ona na mocy wszystkich swoich starodawnych precedensów. Taką zwłaszcza na mocy przewidywanej przyszłej ewolucyi międzynarodowej. Taką wreszcie na mocy prostego faktycznego stanu rzeczy.

„Cała Finlandya ma dwa i pół miliona mieszkańców, rozrzuconych na przestrzeni blisko 300,000 wiorst kw. Królestwo Polskie ma przeszło 11 milionów mieszkańców, siedzących zwartą masą na 111,000 wiorst kw. Czyli ma ludność 4 razy większą, gęstość zaludnienia 12 razy większą. Helsingfors ma 80,000 mieszkańców, Warszawa blisko 100 tysięcy.

„Sucha linia pograniczna Rosyi Europejskiej wynosi ogółem 4,000 wiorst; z tego połowa, około 2,000 wiorst, przypada na Królestwo Polskie i przyległe, dawniej polskie, gubernie północno- i południowo-zachodnie. Nadto, kiedy pozostała demarkacja dotyka



KOSIARZE

Z Salonu „Albert Hall”
w Londynie

LILY DEFRIES

sąsiadów drugorzędnych (Rumunii, Szwecji, Norwegii), tutaj dotyka ona najpotężniejszych, Prus i Austrii...

„Przeszło 10 proc. ogólnego składu armii rosyjskiej, z górą 100 tys. ludzi na stopie pokojowej, 300 tys. na wojennej, stanowią katolicy, t. j. Polacy. Samo Królestwo Polskie daje corocznie około 25 tys. wyborowego rekruta. Dochody państwowe z Królestwa wynoszą corocznie około półtora miliona rubli...

„Naród polski liczy dziś ogółem przeszło 20 milionów. Z tego prawie $\frac{2}{3}$ są pod berłem rosyjskim. Naród ten, fizycznie, materialnie i duchowo, znajduje się obecnie, pomimo najcięższych warunków bytu, w stadium rosnącej żywotności i stałego rozwoju. Krzepki i jędrny, dostarcza doskonałego robotnika i żołnierza; płodny, wedle brutalnej skargi kanclerza niemieckiego, „jak króliki”, a mocno odporny na zdrowiu, przy jednej z najwyższych w Europie stopie urodzeń, a umiarkowanej śmiertelności, rozmnaża się w wyjątkowo pomyślnym stosunku. Pracowity i obrotny, rośnie szybko w zamożność, i to w najszerszych swych warstwach: bogaci się szczególnie w stanie włościańskim, postępującym zarówno w samowiedzy narodowej i gospodarczej i z coraz poważniejszymi funduszami przystępującym do parcelacji; bogaci się w stanie mieszczańskim na solidnej i energicznej przedsiębiorczości wytwórczej i handlowej, zwłaszcza na intensywnym przemyśle fabrycznym, reprezentującym dziś w Królestwie Polskiem produkcję roczną wartości przeszło pół miliarda rubli. Wreszcie, przy coraz pełniejszym zespoleniu wszelkich warstw i stanów w jednolitem poczuciu narodowym, nie uroniwszy nic zabytków wielowiekowej kultury, na wysokim poziomie utrzymując piśmiennictwo i naukę

swojską, dotrzymuje kroku Europie i zachowuje miejsce naczelné wśród Słowiańszczyzny zachodniej.

„Naród ten jest, jak był, jednym z kilku wielkich narodów rodziny europejskiej. Jest kluczem do Zachodu. Jest kluczem do

Słowiańszczyzny. Dziś, jak przed 90 laty, jak w chwili przejścia Warszawy pod berło rosyjskie, jest to dla Rosji z tej strony, wedle wyrażenia Napoleona I, „klucz sklepienny” („*la clef de voûte*”). A sercem tego narodu jest Królestwo Polskie...” (DN)

EDWARD SŁOŃSKI:

OJCZYŻNA.

I.

Przehandlowaliśmy na nic
Swoją znak i graniczne kopce —
I dziś dla nas niema granic,
I swoim jest wszystko obce.

Takaś wyrosła nam ślicznie
I takaś się rozszerzyła
Bezbrojnie a bezgranicznie,
Serdeczna, ojczyżno miła!

Rozsiadłaś się w obcych grodach,
Ty polna, rolna i wiejska,
We krwi kąpana i miodach,
Rycerska i kołodziejska.

Rozsiadłaś się w obcych grodach,
Na świata wielkiej połowie...
O twoich głodach i chłódach
Nikt nie wie, nikt się nie dowie.

Nikt się nie wzruszy do płaczu,
Kiedy zaśpiewa kto czasem
O żołnierzyku tułaczku,
Co chodził borem i lasem.

Bo dzisiaj ty przebogata,
Bezmiędzna i bezgraniczna,
Ojczyżno z połowy świata,
Takaś jest wielojęzyczna.

Ci mówią tak, ci inaczej —
Po włosku i po mongolsku,

Więc któż zrozumie, co znaczy
Żołnierska piosenka po polsku.

Nie rozumieją! i dobrze!
Co komu do naszych głodów,
Co komu, że kiedyś chrobrze
Szliśmy na czele narodów?

Dziś, chociaż twych bohaterskich
Rapsodów nie zna nikt prawie,
Na strzępach płaszców
żołnierskich
Ty jeszcze pióra masz pawie.

A że u ciebie, jak w szopce,
Miał dźwięku szabel — dźwięk
szkłanic,
To spytaj, gdzie są te kopce,
Co ongi strzegły twych granic.

II.

Wędruję gdzieś borem, lasem
I z głodu przymieram czasem.

Dalekim wciąż idę krajem,
Nad Tybrem, czy nad Duńajem.

Przez lotne wlokę się piaski —
Żołnierzyk ja z Bożej łaski,

Znaczony na piersiach blizną
Za ciebie, miła ojczyżno.

Nad Tybrem, czy nad Dunajem,
Ty dla mnie kwiecisz się majem,

Na moje weselne gody
Pod lipą gdzieś sycisz miody

I matką tyś mi i swachną,
Choć skiby twe grobem pachną!

III.

O ziemio, ojczyżno moja,
Ojczyżno bez miedz, bez granic,
Stępiła się moja zbroja,
I odzież zdarła się na nic.

Z dalekich wracam dziś szlaków
Z nad Tybru, czy z nad Dunaju,
Ojczyżno wędrownych ptaków,
Będących wciąż na wyraju.

Do twego łona się garnę,
Ty matko moja i swachno!
Twe skiby mokre i czarne
Tak pachną! tak grobem pachną!



Poszedłem za nią przez góry, doliny...

PRZYSZYNEK DO GENEZY „W SZWAJCARYI“.

Malownicza, wolna, podwójnie piękna ziemia Helwetów niejednokrotnie otwierała swe skarbcie nieprzebrane przed olśnionymi żrenicami „wieszczów obcego narodu”, przybyszów z dalekiej Północy, z „kraju smutnego Iłotów”. Ma ona też swoją piękną kartę w dziejach naszej poezji, od Malczewskiego, który pierwszy z Polaków wdarł się na niebotyczną, śnieżną turnię Mont-Blanc, do Kasprowicza i Żeromskiego, co z czarownych i groźnych krajobrazów Szwajcaryi wysnuwali pomysły do swych utworów.

Między rokiem 1830 a 1835 wszyscy trzej nasi wielcy poeci romantyczni zwiedzili wirchy i doliny, jeziora i lodowce tej uroczej krainy Tella i Winkelrieda, którąby można nazwać wyniosłym czołem Europy. Mickiewicz z Alp w Splügen z nad granicy włoskiej śle ku Wili, „naszych strumieni dziewicy”, i Niemnowi, „mnogich piastunowi łodzi”, tęskne pożegnania Laury-Maryli; wspólnie z nim odbywający wycieczkę w Alpy Berneńskie Krasinowski pisze na popasach dziennik z podróży po francusku, w kilku też luźnych fragmentach francuskich daje wyraz swoim wzruszeniom turystycznym. Słowacki najdłużej z nich, bo całe trzy lata, zamieszkał w schludnym pensjonacie dobrej pani Pattey pod Genewą, miał



SZCZYT JUNGFRAU.

Pójdziemy razem na śniegu korony! Pójdziemy razem, gdzie trzód jęczą dzwony,
Pójdziemy razem nad sosnowe bory! Gdzie się w tęczowe ubiera kolory
Jungfrau i słońce złote ma pod sobą...

Ale wszystkie czary krainy „koron śniegu” i „sosnowych borów” wymalował poeta tęczowymi barwami w powszechnie znanym poemacie „W Szwajcaryi”.

Za tło krajobrazowe posłużyły mu w tym nieśmiertelnym utworze tęsknej i marzycielskiej miłości wstrząsające, a pełne nieprzemожonego uroku wrażenia z wycieczki w głąb Helwecji, odbytej w pierwszych dniach sierpnia 1834 roku, w towarzystwie kilku osób, przeważnie Polaków, zamieszkujących wówczas willę pani Pattey.

Z wrażen z pierwszej części podróży: przejazd statkiem parowym po błękitnym Lemanie, zimne cele w klasztorze św. Bernarda, światowi muisi, pokurczone trupy zmarzniętych w śniegach wędrowców, mozolne wdzieranie się na przełęcz Gemmi wijącymi się po stromym zboczu skalnym zakosami, zginione wśród gór jeziora Brienz i Thun — nic prawie nie weszło w skład poematu.

I tylko w rozdziale XIV odszukać można ślad wzruszeń, doznanych przez poetę podczas zwiedzania salin podziemnych i grot stalaktytowych, położonych pomiędzy miasteczkami Bex a St. Maurice. W słynnym liście do matki z dn. 21 sierpnia 1834 r. tak o tem opowiada: „Nazajutrz zwiedzaliśmy miny solne, pół mili prawie szliśmy podziemnymi drogami, niosąc w rękach lampy żelazne. Było w tej podziemnej podróży coś uderzającego imagi-nację”...

Ale oto ze szczytu Gemmi ukazuje się strudżonym wędrowcom widok czarowny, otwiera się wspaniała panorama Alp Berneńskich, w sercu Szwajcaryi położonych; „w tęczowe ubrane kolory”, wznoszą dumne czoła trzy najwyższe turnie Szwajcaryi środkowej: Eiger, Mnich i Jungfrau. Ostatni z nich zwłaszcza, owa Dziewicza Góra, o pięknie zarysowanym konturze, spowita w śnieżny welon oblubienicy, oczarowała gorącą wyobraźnię poety, unieśmiertelniona w słynnej apostrofie XIII rozdziału tej naszej „pieśni nad pieśniami”:

„Pójdziemy razem na śniegu korony”...

I oto w tej miejscowości, jednej z najpiękniejszych w Szwajcaryi, gdzie, jak pisze do matki, „góra Jungfrau, śniegiem pokryta, stoi, jak olbrzym biały”, w jednej z rozkosznych dolin, u stóp groźnych mocarzy skalnych, bądź w Lauterbrunnen, gdzie „spada ze skały wysoka na 800 stóp kaskada Staubbach, woda jej nigdzie się prawie o skały nie odbija, ale przez sam lot z takiej wysokości zamienia się na wstęgę mgły białej i leci na do-

linę”, bądź w Grindelwald, dolinie „jeszcze piękniejszej, bo do niej wpływają dwie rzeki lodów, a lody te aż do jej głębi dochodzą „i promienna ich białość ślicznie odbija wpośród muraw, drzew i kwiatów”, w tym zakątku, jakby stworzonym na to, aby być tłem sielanki miłosnej, rozgrywa się znaczna część akcji poematu.

Tu, nie gdzieindziej, szukać owego szaletu, gdzie z swoją wyśnioną kochanką przeżył poeta tyle chwil czarownych, a niepowrotnych. Stąd też — zaledwie kilka godzin drogi do sławnej grotty lodowej w Rosenlauri, na stokach Wetterhornu, której zawdzięczamy jeden z najpiękniejszych, a zarazem najbardziej nastrojowych obrazów w XII rozdziale poematu.

W liście obraz nie tak piękny, ale również pamiętny: „Byłem w lodowych gmachach pod sklepieniem błękitnego kryształu. U nóg moich ogromne przepaści, i potok lody podrywał. Ze ścian gmachów, w których stałem, kropliste od słońca spadały deszcze”.

Jedna jeszcze wycieczka szczytowa na Faulhorn, jeszcze jeden nocleg w oberży i widok z góry o wschodzie słońca na rozścielającą się u stóp wędrowca krainę, „od Alp na śniegu różowych — różowej”, i towarzystwo z Pâquis wstąpiło w dolinę Hassli, istny parów wśród ścian z granitu, tak wązki miejscami, iż „stróż anioł biały rozwijał skrzydła od skały do skały i nakrywał ten cały parów dziki”. Na drodze nowe dziwo: kaskada Aaru pod Handegg, opisana również i przez Kra-

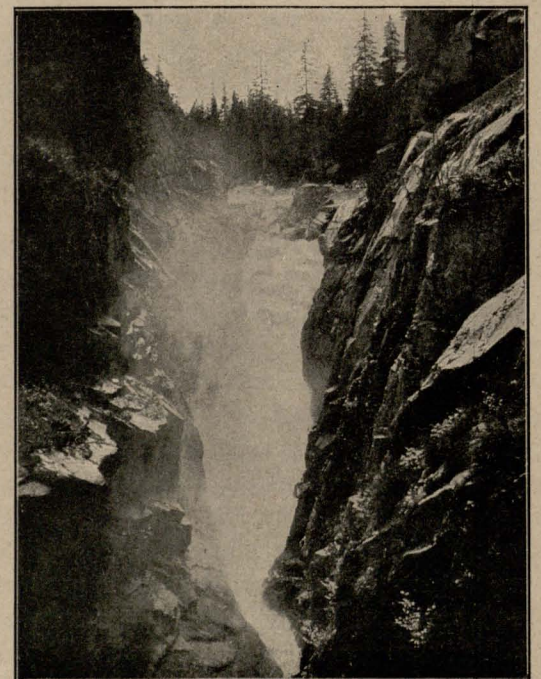


GROTA LODOWA NA STOKACH WETTERHORNU.

Raz mię ów anioł zaprowadził złoty,
Przez jasne łuki do lodowej grotty,
Tam ją obelił dzień alabastrowy;
I mróz na czole mej jasnej królowej
Perłami okrył wszystkie polne róże,
I ze sklepienia łzy padały duże;
A we łzach sylfy z jasnością ogromną
Deszczem spadały białą i skromną...

czas nasycić się krajobrazami nieźrównanej mocy i krasy.

Już w „Kordyanie”, pierwszym utworze, u stóp alpejskich olbrzymów zrodzonym, poeta w przełomowej scenie umieszcza swego bohatera, spadkobiercę Tellów i Winkelriedów, na szczycie lodowej iglicy Góry Białej i w usta jego wkłada słowa, jak piorun, gromkie i prędkie: „Ludy! Winkelried ożył! Polska Winkelriedem narodów!”



WODOSPAD AARU W DOLINIE HASSLI, POD HANDEGG.

W szwajcarskich górach jest jedna kaskada,
Gdzie Aar wody błękitnymi spada...

sińskiego w jednym z fragmentów francuskich, a w naszym poemacie załamująca się w tęczowe widmo obrazu poetyckiego:

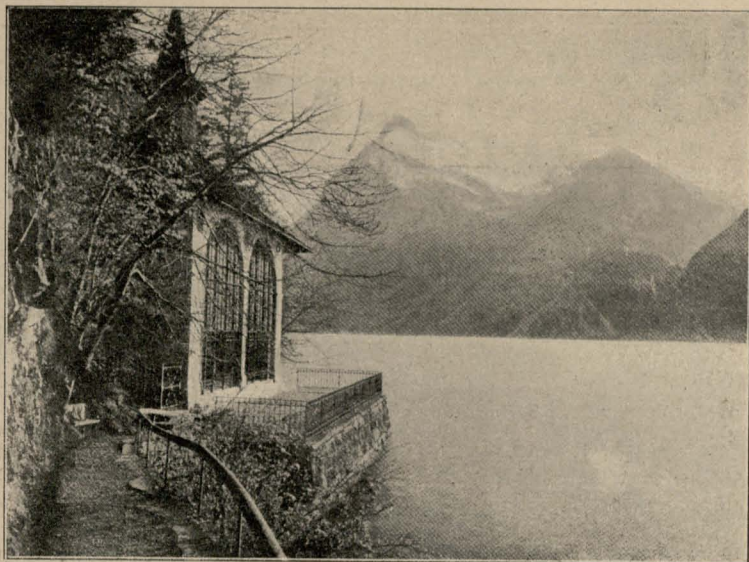
„W szwajcarskich górach jest jedna kaskada”...

Dalsza droga, upamiętniona przez Żeromskiego w noweli „O żołnierzu-tułaczku”, dźwiga się pod górę, na przełęcz Grimsel, skąd spada w nagłych zakosach ku niewielkiej dolince, wciśniętej między skalne olbrzymy, gdzie, z majestatycznego, olśniewającej bieli lodowca sączą się źródła Rodanu, krajobraz, po mistrzowsku odtworzony przez poetę w trzecim rozdziale poematu.



LODOWIEC I ŹRÓDŁA RODANU.

I szliśmy razem u stóp tej lawiny,
Gdzie śnieg przybiega aż do stóp człowieka
A Rodan z paszczy błękitnej ucieka...
Spłaszczoną pletwą, jak delfin olbrzymi;
Para mu z nozdrza srebrzystego dymi,



KAPLICA TELLA NAD JEZIOREM CZTERECH KANTONÓW.

Pod ścianą ze skał i pod wieńcem borów
Stoi cichości pełna i kolorów
Tella kaplica...

Dalsze etapy wędrówki: przełęcz Furka, most Dyabli, droga świętogotardzka, wstawiona w dziejach pochodem oddziału Suwarowa w roku 1799, miasteczko Altdorf, gdzie, wedle podania, Tell do jabłka na głowie syna strzelał, nie znalazły odbłyśku w poemacie.

Dopiero ostatnie ogniwa długiego łańcucha wrażeń, jezioro Czterech Kantonów, ów olbrzymi liść klonu, rzucony między wyniosłe, urwiste brzegi, ze skałą Schillera, z prastarą oberżą Treib, pamiętającą jeszcze czasy oswo-bodzenia szwajcarskiego, z kaplicą Tella, o której pisze do matki: „Byłem w kaplicy Wilhelma Tella, łódka nasza zatrzymała się na ska-le, z której bohater wyskoczył, Gesslera na jezioro odepchnawszy”, wszystkie te odmienne od posępnej dziedziny wiecznych śniegów widoki znalazły wcielenie w IV, V i VI rozdziale...

Przed tym właśnie „Tella kościołem” ona „pierwsza na kamień wyskoczyła, płocha, i powiedziała mu w głos, że go kocha”. Tam „jest próg na fali, gdzie raz pierwszy przez usta zeznali, że się już dawno sercami kochają”, a fala...

Ach, fala taka szalona i pusta,
Że połączyła nawet nasze usta,
Choć sercem tylko byliśmy złączeni.

Tam też, na jeziorze Czterech Kantonów, „szczęśliwi” byli i „sami”, „płynąc szwajcarskich jezior błękitami”, a ona:

...była, jak białe łabędzie,
Była jeziora błękitnego panią,
Płynęła lecąc—łódź leciała za nią.

Na takim tle, to przejmującym grozą i przerażeniem, to owiewającym duszę urokiem nieprzepartym łagodnego piękna, wymarzył sobie poeta kochankę, jakiej, wedle słów Mickiewicza, „na podstępnych nie bywało świecie”. I ją w tej naturze ukochał. Bo i czemuż byłby ten romans bez kaskad, jezior, lodowców, śniegów, dolin i parowów? I tak zrodziła się w jego imaginacji owa kochanka, „w księżycu blasku lub wieczorem od Alp na śniegu różowych różowa”.

Tęczowe refleksy od wodospadów, błękitne od jezior, białe i różowe od śniegów padają kaskadą blasków zmiennych a migotliwych na niezmierną postać bohaterki poematu, tej „zbawionej” i tej „kochanki”, co nie umarła, jak umierają śmiertelnicy, lecz... „zniknęła, jak sen jaki złoty”...

Sen o miłości i szczęściu.

HENRYK GALLE.

BOLESŁAW PRUS:

Szkoła i charakter.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Wyobraźmy sobie, że pewnego dnia ukazała się w gazetach depesza: „Jakiś p. X wynalazł okręt latający. Nie balon i nie aeroplan, ale okręt, mogący pomieścić setki ludzi, kilkanaście armat, mnóstwo żywności i pocisków. Okręt ten może unosić się w powietrzu, nawet bez ruchu, całe miesiące; zaś na wypadek potrzeby może latać z szybkością gołębia. Może również pływać po wodzie, a nawet pod wodą; żadne kule nie zaszkodzą mu, gdyż zbudowany jest z metalu, niesłychanie wytrzymałego i trwałego”.

Przypuszczam, że wiadomość podobna wstrząsnęłaby społeczeństwami ucywilizowanymi; nadewszystko jednak zaciekałaby. Więc słyszelibyśmy gorączkowe pytania: czy ten okręt jest mocno zbudowany? czy majtkowie i sternicy panują nad jego ruchami w taki sposób, że statek leci tylko tam, gdzie oni chcą, i niszczy tylko to, co oni zniszczyć pragną?... czy dowódca ma dostateczną władzę?

Nie koniec na tem, w dalszym bowiem ciągu nastąpiłyby głębsze i ważniejsze pytania: czy dowódca jest egoistą, który dba wyłącznie o swoje interesy, czy altruistą, który swoje interesy podporządkowuje cudzym potrzebom? A w takim wypadku: co to za ludzie mogą wpływać na jego postanowienia? Czy to osoby z typu Wincentego a Paulo, czy indywidua z gatunku Torkwemadów i Murawiewów? A może wódz nadzwyczajnego okrętu będzie miał na celu jakiś naród, więc który? A może, co jest najbardziej pożądane, choć najmniej prawdopodobne, potężny arbiter ludów potrafi wznieść się ponad wszelkie sympatyje osobiste i narodowe i w działalności swej będzie kierować się najwznioślejszymi ideałami sprawiedliwości i dobra dla wszystkich narodów i jednostek?

Każdy człowiek zdrowy, rozsądny i zdolny do pracy jest podobny do owego fantastycznego kapitana okrętu; każdy z nas bowiem posiada organizm, będący zbiornikiem sił żywych, organy, za pomocą których może pomagać albo szkodzić bliźnim, spełniać czynności dla nich użyteczne, albo wyrządzać im ciężkie krzywdy. I gdyby, skutkiem wielkiej

liczby krążących dokoła nas ludzi, nie spowszedniała nam istota ludzka, widok każdej z nich budziłby naszą ciekawość, i zapytywalibyśmy z tajemną obawą: czy organizm tego człowieka jest silny i trwały?... czy człowiek ten umie kierować sobą, a więc czynić tylko to, co sam chce, nie zaś ulegać okolicznościom zewnętrznym, przypadkom?... Czy nareszcie człowiek ten jest egoistą, albo altruistą, ciasnym patriotą, czy duchem rozległym i głębokim, którego działalność zależy nie od chwilowych pożądań lub sympatii, ale od nieśmiertelnych ideałów powszechnego dobra i sprawiedliwości?...

Krótko mówiąc: gdybyśmy byli mniej roztargnieni, a uważniejsi w życiu codziennym, wówczas na widok każdego człowieka zapytywalibyśmy o jego „charakter”, to jest: o jego energię, stopień panowania nad sobą, zapas wiedzy, naturę uczuć, wreszcie o jego potrzeby i ideały?... Nie koniec na tem. Przekonawszy się bowiem, że — obok nielicznych charakterów dobrych, istnieje niemało złych, a najwięcej niezdecydowanych, poważnie zastanawialibyśmy się nad kwestją: czy niema możliwości poprawienia złych charakterów — i — jakie są środki, ażeby z charakterów nieustalonych wytworzyć dobre. Dobre nie tylko dla pojedynczych bliźnich, lecz wogóle dla pomnożenia i utrwalenia tego, co w świecie jest pożyteczne i doskonałe, a zmniejszenia i osłabienia rzeczy złych i szkodliwych?

Otóż sposoby urabiania, doskonalenia charakterów istnieją, a nazywamy je „wychowaniem”, lub „samowychowaniem”. Przy sposobności trzeba odróżnić i mocno podkreślić różnicę pomiędzy „wychowaniem” a „ukształceniem”. Ukształcenie wyrabia tylko nasz umysł. Uczymy się języków, nauk przyrodniczych, matematyki, geografii i t. p., czyli otwieramy sobie niby okna na świat otaczający i przyzwyczajamy się władać jego siłami. Jeżeli jednak nie nauczymy się współcześnie kierować naszym okiem, naszą ręką i całą osobą, jeżeli nie nabędziemy wprawy w usuwaniu pewnych myśli i zwracaniu się do innych, w tłumieniu pewnych uczuć i pragnień, a podniecaniu innych, jeżeli nie potrafimy „chcieć” i „działać” i to — dobrze chcieć i działać, to cała nauka szkolna i uniwersytecka niewiele przyniesie pożytku.

Wyłączna „kultura umysłowa — mówi dr. Fr. W. Foerster — może się stać prawdziwym



PORTRET WŁADYSŁAWA ST. REYMONTA
Paryż, w Maju r. b.

M. JAKIMOWICZ

niebezpieczeństwem, jeżeli nie kieruje nią sumienie i wyrobiona wola. Wówczas bowiem rozum staje się niby latarką złodziejską, służącą do oświetlenia drogi wszelkim chuciom, w celu ich zaspokojenia". Któż zresztą nie wie, że łotr oświecony jest niebezpieczniejszy od ciemnego rzezimieszka?...

W pedagogice naszych czasów panują prądy, mocno różniące się pomiędzy sobą. Przeważnie pracujemy nad rozszerzeniem zakresu wiedzy młodzieży, niekiedy dbamy o jej zdrowie i rozwój sił fizycznych, czasem staramy się o nauczanie jej prac fachowych, np. rzemiosł, handlu. Lecz właściwem wychowaniem, czyli wyrabianiem charakterów, zajmowano się niewiele, a jeszcze i w tej działalności istnieją dwie szkoły. Jedna—tradycyjna, żądająca od swoich pupilów ślepego posłuszeństwa i posługująca się kijem, różgą, klęceniem, wyrzucaniem za drzwi i t. p. środkami; druga—postępowa, która odsuwa wszelką karność, wszelki przymus, daje dzieciom zupełną swobodę, sądząc, że w ten sposób rozbudzi w wychowancach energię samodzielną, czyli zaletę pierwszorzędną doniosłości w życiu.

I jedno, i drugie stronnictwo wychowawców nie może pochłubić się zbyt świetnymi rezultatami. Zwolennicy „tradycji” bardzo często wychowują zahukanych kłamców i obłudników; stronnicy bezwzględnej wolności stwarzają niekiedy anarchistów umysłowych i moralnych, którzy nie umieją ani działać, ani myśleć porządnie.

Do powyższego obrazu dodajmy szybki wzrost występków i samobójstw między młodzieżą, zdenerwowanie i brak woli w najzwyklejszych momentach życia codziennego, a zrozumiemy niebezpieczeństwa, grożące naprzód—młodemu pokoleniu, a następnie całej przyszłości narodów. Bo i co może być wartym taki naród, którego obywatele wzyliby się wszelkiej energii, uganiłi się tylko za przyjemnościami, dbali tylko każdy o siebie, gardzili wszelkim wysiłkiem, nie byli zdolni do posłuszeństwa, a więc i zbiorowego działania, a nareszcie—jak złego ducha, lękali się nawet myśli o poświęceniu?... Naród, który znalazłby się na tym szczyblu upadku moralnego, pomimo największych bogactw, pomimo najwyższej kultury umysłowej, musiałby zginąć marnie!...

Człowiekiem, który bodaj czy nie najjaśniej zrozumiał niebezpieczeństwa dzisiejszych kierunków pedagogicznych i który nakreślił bodaj czy nie najlepszy plan reform w wychowaniu szkolnym, jest dr. Fr. W. Foerster, pedagog szwajcarski. Zaś punktem wyjścia dla jego wywodów jest pewnik, że: „głównym celem szkoły musi być kształcenie charakteru”. A więc nie języki martwe, a nawet żyjące, a więc nie gimnastyka, a więc nie cała litania nauk dedukcyjnych i opisowych, ale charakter... charakter... charakter... dziecka czy młodzieńca.

Poglądy jego napozór są jakby usiłowaniami godzenia dwu kierunków wychowawczych: tradycyjnego i nowoczesnego, czyli demokratycznego. W gruncie rzeczy zasady pedagogiczne Foerstera stanowią syntezę tego, co we wszystkich systemach wychowawczych było dobre i zgodne z naturą ludzką. Kładzie on wielki nacisk na potrzebę rozwinięcia samodzielności w wychowaniu, na uszanowanie godności dziecka i młodzieńca, lecz zarazem żąda—posłuszeństwa i głośno przypomina, że—wychowanie, urabianie charakterów nie może

być zabawką, lecz wymaga pracy, wysiłków i to zarówno od wychowawcy, jak i od pupila.

— Zwalczaj w sobie—mówi on—złe skłonności, nie dlatego, że tak chce nauczyciel czy przepisy szkolne, ale dlatego, ażebyś wzmocnił i uszlachetnił własną duszę. Wypełniaj cudze rozkazy nie tylko dlatego, ażebyś nauczył się rozkazywać innym, lecz ażebyś nauczył się panowania—nad sobą samym...

Nawiasowo przypomnę, że Japończycy są narodem, który bodaj czy nie w najwyższym stopniu posiada sztukę panowania nad sobą i ćwiczy się w niej od dziecka, z całą świadomością. Tam młodzi ludzie muszą być— „rozważni w czynach, cierpliwi, powściągliwi w słowach i ruchach”.

„Panowanie nad sobą pozwala Japończykom zwyciężać namiętności, dzielnie znosić głód, pragnienie, nawet pogardzać śmiercią”.

U Foerstera „karność” nie oznacza samowoli starszych nad dzieckiem, silnych nad słabym, ale—harmonijne połączenie samodzielności z posłuszeństwem. Taką zgodność między dwoma napozór sprzecznymi procesami duchowymi osiąga się, jeżeli wychowawiec zrozumie cel posłuszeństwa i ten cel umiłuje. A umiłować musi, ponieważ w pracy wychowawczej chodzi o to, ażeby młodzieńca uszlachetnić, zbliżyć go do ideału bohaterskości.

Wiadomo, że bohaterem może być tylko człowiek, który tak dalece opanował się, że dla pewnego celu, rozumie się: dobrego, może sam siebie poświęcić.

W jaki sposób Foerster zaleca wyrabiać charaktery? Sposobów tych jest bardzo wiele. Indywidua słabej woli najpewniej i stosunkowo najłatwiej zapanują nad sobą, wypełniając—z początku cudze rozkazy. Drugim stopniem jest wymyślanie się w pewien cel, np. dziś będę jak najmniej mówił, albo: nie będę się gniewał... Rozumie się, że rozmyślaniom towarzyszyć muszą odpowiednie ćwiczenia, z początku łatwe, następnie coraz trudniejsze. Niemalą rolę odegrywają rozprawy koleżeńskie i wypracowania piśmienne na pewne tematy etyczne, np. wykazać złe strony kłamstwa. Zachęta nauczyciela, dozór kolegów, ich sądy i wyroki nad łamiącymi przyjęte przez ogół ustawy i t. p. są również sposobami do wyrabiania woli.

Praca nad opanowaniem siebie, nad wypełnianiem cnót, oddziaływa na wszystkie władze duszy i ciała. Chroniąc od nadużyć, zabezpiecza ona zdrowie. Ogromnie potęguje zdolność do każdej innej pracy, gdyż wskazuje w niej jeden ze środków opanowania siebie. Podnieca uczucia estetyczne, zmuszając nas do porządku i harmonii, a nareszcie stanowi kurację moralną. W ten tylko bowiem sposób „osoby bojaźliwe, niespokojne i mało odporne—uczą się chcieć”...

W artykule niniejszym bynajmniej nie streściłem wybornej książki dra Foerstera p. t. „Szkoła i charakter”. Chciałem tylko zaznaczyć, że takie mądre, takie pocziwe dzieło istnieje w naszym języku. Jestem pewny, że niejeden nauczyciel, ojciec czy opiekun w książce tej spotka wiele wskazówek, dotyczących postępowania z wychowancami, a niejeden młodzieniec znajdzie cel życia i pracy, a zarazem sposoby osiągnięcia tego celu.

Największym nieszczęściem człowieka nie jest bieda, ani brak środków, ani niewola zewnętrzna, ani niebezpieczeństwo, lecz—nieumiejętność, niemożność panowania nad sobą. Z chwilą gdy młodzież nasza odwróci się od tak zwanej polityki i demonstracji jałowych, a zajmie się pracą nad wyrabianiem charakte-

rów, dla narodu otworzy się lepsze jutro, nowy okres historii polskiej.

Że to kiedyś nastąpi—jestem przekonany. Oby tylko ruch ten zaczął się jak najprędzej, ogarnął jak najszersze koła i nigdy... nigdy już nie ustawał.



J. E. ks. biskup Apolinary Wnukowski.

Zgon metropolity.

Zmarły w ubiegłym tygodniu arcybiskup metropolita mohylowski, najwyższy zwierzchnik duchowny wszystkich katolików w Cesarstwie, J. E. ks. Apolinary Wnukowski, pochodził z Podola. W gimnazjum w Kamieńcu pobierał nauki średnie. Jako siedemnastoletni chłopiec, ukończył je w r. 1865, poczem wstąpił do seminarium duchownego tamże. Przy nim seminarium to zostało zamknięte, przeniósł więc się do nowego, łucko-żytomierskiego, które w r. 1870-ym ukończył.

Następny etap w życiu to akademia duchowna w Petersburgu. Tu uzyskuje święcenia kapłańskie i tytuł magistra Teologii św. I powraca znowu do Żytomierza, tym razem jednak już jako nauczyciel łaciny w seminarium, a po zamknięciu w r. 1876 pracuje w konsystorzu.

Akademia duchowna w Petersburgu powołuje go na profesora adjunkta, ale z powodu złego stanu zdrowia nominacji przyjąć nie może. Przyszłego metropolity widzimy teraz kolejno na stanowiskach kanclerza kuryi biskupiej w Żytomierzu, kanonika honorowego, członka konsystorza, wreszcie rektora seminarium po ponownem otwarciu w r. 1881.

Rok 1904 przynosi mu mitrę biskupią płocką. Po czterech latach z żalem żegnany, opuszcza Płock, udając się na nowe stanowisko.

Ingres nowego metropolity odbył się 6 grudnia 1908 r., a w zaledwie pół roku potem biskupa Wnukowskiego nie było już wśród żyjących. Podczas swego urzędowania poruszył zacną myśl wizytacji rozproszonych po wschodniej Rosji i Syberii kościołów katolickich, ale nieubłagana choroba nie pozwoliła mu jej w czyn wprowadzić; wykonanie powierzył swemu sufraganiowi, J. E. ks. Cieplakowi.

Zmarł na stanowisku, po długich i ciężkich cierpieniach, liczył bowiem lat 61. Szkoda zacnego kapłana, którego zwłokom towarzyszyć będzie żal powszechny wiernych olbrzymiej, ponownie osieroconej archidiecezyi.

PROFILE LITERACKIE.

SZYMON ASKENAZY.

Nie należy do żadnej z t. zw. szkół historycznych naszych. Jest indywidualistą zarówno w swojej, nawskroś samodzielnie przemyślanej metodzie badań naukowych, jak i w poglądach na przeszłość. Uczony o szerokiej wiedzy, opartej na wszechstronnych studiach z dziedziny historii, prawa, ekonomii politycznej, literatury polskiej i obcej, zajmuje Askenazy przednie stanowisko w naszym piśmiennictwie. Oddawna stał się ulubionym dziejopisarzem narodowym, kojarząc w sobie zdumiewającą erudycję i wytrawny sąd krytyczny z niezwykle talentem pisarskim. Jeszcze jako student prawa w uniwersytecie warszawskim, zwrócił uwagę czytającego ogółu świetnymi studiami z dziejów powszechnych nowożytnych, ogłaszanymi na łamach *Ateneum* i *Biblioteki Warszawskiej*.

Obdarzony umysłem lotnym, chwytliwym, wyłamującym się z właściwą niepospolitym jednostkom energią z pod jarzma apuchtinowskiego systemu edukacyjnego, potrafił w trudnych dla nauki polskiej warunkach w Warszawie posiąść wiedzę rozległą i gruntowną. Rozprawa kandydacka Askenazego p. t. „Poglądy polityczne encyklopedystów”, wprawdzie zakwalifikowana przez wydział do druku, nie zostaje jednak narazie ogłoszona, ponieważ, zdaniem osławionego profesora statystyki i ekonomii politycznej, Simonienki, była „zarażona duchem rewolucyjnym”...

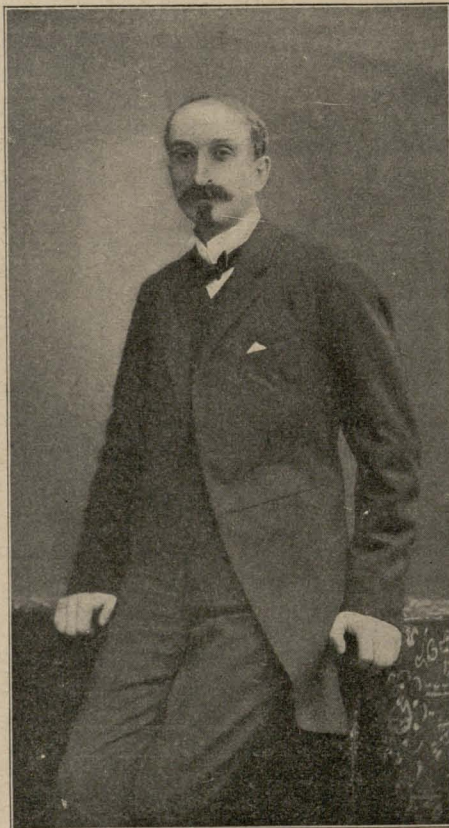
Po ukończeniu uniwersytetu urzędował Askenazy przez dwa lata, jako kandydat do posad sądowych przy sądzie okręgowym warszawskim i wtedy przyszedł autor „Uwag z powodu listu Polaka do ministra rosyjskiego” miał sposobność przyrzeć się zblizka gospodarce biurokratycznej w Królestwie w tak ważnej dziedzinie, jaką jest sądownictwo. Ulegając wszakże wrodzonemu zamiłowaniu do ścisłych badań historycznych, wyrzeka się kariery palestranckiej i udaje się do Getyngi; studjuje tam historię powszechną pod kierunkiem słynnych uczonych, Weilanda i Maxa Lehmana i, po złożeniu rozprawy „Die letzte polnische Königswahl”, otrzymuje w r. 1894 stopień doktora filozofii. Niebawem zostaje mianowany docentem i nieco później profesorem nadzwyczajnym historii powszechnej w uniwersytecie lwowskim; wreszcie w 1907 r. obejmuje tamże, jako profesor zwyczajny, katedrę po znanym historyku Tadeuszu Wojciechowskim. Nominacja ta przyjęta była z gorącym uznaniem przez młodzież akademicką, która w profesorze Askenazym ceni nie tylko znakomitego uczonego, lecz zarazem serdecznego, całą duszą jej oddanego kierownika i przyjaciela.

Twórczość pisarska Askenazego zamyka się w zakresie dziejów dwóch stuleci, XVIII i XIX-go; tej najważniejszej bodaj karty przeszłości naszej jest on znawcą niepospolitym. Z subtelnym poczuciem psychologa wnika w najtajniejsze i najbardziej skomplikowane procesy dziejowe, odsłania z precyzją i niewyłąkłą plastyką opowieści zabiegi gabinetów dyplomatycznych i splątane w nieskończonych ogniach czynności poszczególnych działaczy politycznych i kierowników rządów. Zbliżając się w swej metodzie pisarskiej do znakomitego autora „Dziejów Anglii”, Askenazy słusznie może być nazwany „polskim Macaulay'em”.

Ze szczególnym atoli naciskiem podnieść

należy w dziełach autora „Przymierza polsko-pruskiego” i „Księcia Józefa” sprężenie bogactwa treści z głęboką myślą dydaktyczno-polityczną. Interesujące, barwne, świetnym, niekiedy wprost porywającym stylem pisane książki Askenazego zajmują i uczą. Uczą nie tylko dziejów, nie tylko wskazują fakty, lecz zarazem wysuwają przed myśl czytelnika spółrządne czynniki życia narodu, objawy jego ducha i te zjawiska społeczno-polityczne, które Polska napotykała w swym rozwoju historycznym.

Przeszłość dziejowa w przedstawieniu Askenazego ukazuje się jako całość, związana tysiącnymi nićmi z dzisiejszym żywym orga-



Prof. SZYMON ASKENAZY.

nizmem narodowym. Pojmując zadanie historyka, jako obowiązek sprawiedliwego sędziego lat minionych i ludzi, którzy już odeszli, zarazem jednak głębiej odczuwającego terażniejszość obywatela kraju, autor „Łukasińskiego” w swych prelekcjach uniwersyteckich i pracach naukowych kładzie zawsze nacisk na stronę dydaktyczną faktów dziejowych, na rzeczy publiczne, powszechniejsze, o które chodzi mu najgłówniej i w których omówieniu wykazał niejednokrotnie prawdziwą odwagę cywilną i szczerą, bezwzględną miłość prawdy.

Ta zasadnicza cecha wszystkich wogóle książek Askenazego w szczególności występuje w jego dziele: „Rosya—Polska” (1815—1830) i „Łukasiński”, świeżo właśnie, jak to nawiasowo zauważymy, uznanem przez najwyższą naszą instytucję naukową, Akademię Umiejętności, za „jedno z najcenniejszych dzieł naszej literatury historycznej ostatnich czasów”; wreszcie artykuł „Z niedawnej przeszłości”, rozpoczęty w niniejszym numerze *Tygodnika*, jest również dowodem żywego odczucia współczesności przez autora szkicu o „Uniwersytecie warszawskim”.

Na zakończenie niepodobna nawet w tej krótkiej charakterystyce dotychczasowej działalności naukowej prof. Askenazego pominąć jego zasługi pedagogicznej, polegającej na skierowaniu i przygotowaniu sporego zastępu młodych historyków do badań nad epoką nowożytną i najnowszą naszych dziejów. Niejednokrotnie, przy różnych okazjach, wskazy-

wał prof. Askenazy na wielce smutny objaw zaniedbania poważniejszych, zakreślonych na szeroką skalę studyów w zakresie nowoczesnych naszych dziejów. „Coraz wydatniej ujawnia się—pisał w jednym ze swych artykułów—ostatnimi czasy w piśmiennictwie historycznym niemieckim potężny, systematyczny, a zupełnie świadomy zwrot ku najrozmaitszym badaniom specjalnym w zakresie dziejów nowożytnych i najnowszych... Nie możemy inaczej, jak z największym naciskiem na to arcyważne zjawisko, dokonywające się w oczach naszych, zwrócić uwagi nauki polskiej, gdyż całkiem analogiczne zjawisko dokonywa się równoległe i gdzieindziej. Francuskie, albo nawet rosyjskie, poszukiwania i wydawnictwa źródłowe do dziejów nowoczesnych również z dnia na dzień rosą sposobem iście imponującym. Owóż, niestety, bardziej jeszcze, niż na jakimkolwiek innym polu naukowym, tutaj mianowicie grozi nam zupełne zdystansowanie, a raczej już najzupełniej zostaliśmy zdystansowani. Pośrodku tamtej ogromnej, gorączkowej roboty nauka polska jest zgoła nieobecna... Naprzeciw tamtej licznej, a coraz rosnącej armii pracowników w dziedzinie dziejów nowożytnych i najnowszych, poprostu nie możemy postawić prawie nikogo. Dysproporcja jest tutaj doprawdy niesłychana i, bez względu na wszelkie różnice przedmiotowe materiału i możliwości, przecież w tym nadzwyczajnym stopniu niczem nie dająca się usprawiedliwić. Nigdzie zaś podobny oplakany stosunek nie jest bardziej godny pożałowania, jak w tej mianowicie dziedzinie, gdzie pierwszorzędnej wagi sprawy naukowe bezpośrednio się wiążą z najżywotniejszymi sprawami narodowymi”. Dla zaradzenia choć w części tej naglącej potrzeby naukowej, z inicjatywy prof. Askenazego powstało przed siedmiu laty wydawnictwo „Monografii w zakresie dziejów nowożytnych” (dotychczas wyszło 8 tomów, tyleż przygotowano do druku). Każda monografia jest dziełem samodzielnym, dokonaniem wszakże pod względem wyboru tematu, zgromadzenia źródeł, sposobu ich zużytkowania, ostatecznej redakcji tekstu i edycji dokumentów, pod bezpośrednim kierunkiem prof. Askenazego. W dorobku naukowym autora „Łukasińskiego” prace jego uczniów stanowiąc będą pozycję trwałą a piękną.

Z wrażeń parlamentarnych.

Jasnymi wspomnieniami nie zapisze się tegoroczna sesja Izby Państwowej i Rady Państwa w pamięci Polaków. Do izby niższej wniesiono projekt oderwania od Królestwa szmata ziemi, odwiecznie lackiej, i niestety, niema widoków, aby projekt nie przyoblekł się w szaty prawa. Parcie rządu w tym kierunku jest tak silne, że, gdyby nawet Izba go odrzuciła, wprowadzony będzie drogą paragrafu 87. Cóż wobec straty stanowiłby szczegół, że to nie przedstawiciele społeczeństwa rosyjskiego obcięli granice Królestwa?

O sprawie chełmskiej mówiliśmy i mówić jeszcze będziemy obszernie. Jest to cios tak doniosły w następstwach, że pokrywa w zupełności inny, drobniejszy zamach na prawa polskie, który przecież z powodu innego, również pozornie drobnego, jednak obfitego w komentarze i następstwa faktu, urósł do rozmiarów wcale ciekawej i głośnej historii parlamentarnej.

Zakulisowym aktorem, pociągającym za sznury maryonетки, jest tu p. Picnno, profesor sławy mniejszej, za to człowiek iście rosyjski, redaktor osławionego *Kijerlanina*, zacięty wróg Polaków, wpływowo naturalnie członek Rady Państwa.

W tej izbie wyższej niewielka grupa posłów polskich z Królestwa, Litwy i Rusi nikomu nie

przeszkadza, wody nie mąci, nawet coś tam współdziała z centrum rosyjskiem tej Izby.

Przeszkadza jednak panu Pichnie. Zdąza on do tego, aby drogą zmiany ponownej ordynacji wyborczej grono to jak najbardziej uszczuplić.

Ale droga była niełatwa. Bo termin pełnomocnictw członków Rady Państwa upływał niebawem; miały nastąpić nowe wybory wedle starej ustawy, której właśnie zawdzięczała swe mandaty grupka posłów polskich.

Ażeby nową ustawę przeprowadzić, trzeba było przedłużyć mandaty członków Rady Państwa z gubernii zachodnich o rok jeden. I taki projekt, jako krok wstępny do uszczuplenia praw Polaków, został do Izby Państwowej wniesiony, podczas gdy Rada Państwa odesłała do komisji wniosek pana Pichny i tow. zmiany ordynacji wyborczej do tejże Rady na Litwie i Rusi.

Tu występuje na widownię główna postać, p. Hipolit Korwin Milewski. Zwano go Petroniuszem Rady Państwa. Może był nim istotnie ten elegancki, wysoki, siwy pan, w czarnym tużurku, wśród błyszczących mundurów, zawsze ironiczny i złośliwy. Może. A co pewna, to, że Milewski jest wielkim panem polskim, indywidualistą, idącym zawsze w pojedynkę. Słowem, pismem i czynem głosił zawsze zgodne współzycie obu narodowości na Litwie. Kiedy został wybrany z gubernii wileńskiej przez zgromadzenie 156-ku wyborców, wśród których było zaledwie dwóch Rosyan, oświadczył wyraźnie, że nie będzie się uważał za przedstawiciela Polaków w Izbie wyższej wszechrosyjskiej, lecz za członka, obowiązane do zajmowania się wszystkimi sprawami państwa rosyjskiego.

Ale p. Milewski, wychowany na zachodzie, doskonale prawnik, ma w wysokim stopniu rozwinięte poczucie prawa. A tu, na tym gruncie, musi zgadzać się przedewszystkiem na pogwałcenie prawa.

Stąd konflikt w duszy członka Rady Państwa z gubernii wileńskiej. A jego następstwem — złożenie mandatu. Z gestem szerokim, listem do prezesa Rady, rozgłoszonym na świat cały przez wszystkie dzienniki.

W doskonale napisanym liście p. Milewski podkreśla swoją lojalność. Odesłanie do komisji wniosku pana Pichny, czyli przedwstępne niejako, potencjalne wypowiedzenie się o zasadności wniosku, podkopało jego przekonania. Bo, jeżeli obywatele polscy mają mieć w izbie wyższej prawa uszczuplone za zgodą jej członków, to on, przez trzy lata w izbie rzetelnie pracując, okazał się zaledwie tolerowanym intruzem i — kiedy mu to dano poznać — izbę opuścić

musi. W stosunku zaś do wyborców p. Milewski uważa, że wprowadzał ich w błąd, przekonywając o rozpoczęciu ery polityki bezstronnejszej i o konieczności zgodnego współzycia, któremu rzeczony projekt zaprzecza. I dlatego nie może korzystać nadal z ich zaufania.

I oto efekt tego opuszczenia zgromadzenia z hałaśliwym trzaśnięciem drzwiami był zgoła nieoczekiwany. W niespełna dwa tygodnie po ustąpieniu Milewskiego komisja Rady Państwa odrzuciła wniosek inkryminowany pp. Pichny i S-ki.

Htstoria zatem ma zakończenie szczęśliwe. I dobrze się stało, że bez zaprzeczenia piękny gest został wynagrodzony powodzeniem. P. Milewski



Hipolit Korwin Milewski.

jest w tej chwili jedną z najpopularniejszych postaci w Polsce.

W życiu politycznym, jak na wojnie, ten tylko ma słuszość, kto zwycięża: biada zwyciężonym! — słyszeliśmy to przecież z mównicy. P. Milewski postawił na swoim, więc ma słuszość. Stąd z naszą łatwością do uogólniania wielu woła: jedynym jeszcze atutem w ręku posłów polskich jest ustąpienie zbiorowe.

Rozumowanie na podstawie analogii bywa często błędne. P. Milewski ustąpił sam, bo nie mógł znieść sprzeczności wewnętrznej. Kiedy poddaje gdzieindziej krytyce „świętą zasadę solidarności” i mówi, że jednostka, myśląca prosto, nie może iść za gromadą, myślącą krzywo, to każdy sceptyk z uśmiechem podkreśli, że kryterium prostego i krzywego myślenia mieści się w umyśle i sumie-

niu danego osobnika, czyli w instancji ostatecznie dosyć temuz osobnikowi przychylniej.

Swoją drogą, jeżeli mamy tu jakie następstwa, to tylko dlatego, że hr. Milewski wystąpił sam i z hałasem. Zbiorowe wystąpienie byłoby takiego efektu nie wywarło, ponieważ z natury rzeczy jakaś deklaracja zbiorowa byłaby bledsza, niż list krewkiego posła. A co pewna, to, że przy głosowaniu wniosku iście rosyjskiego zabrakłoby w pełnej izbie odrzucających głosów polskich. Można więcej lub mniej lekceważyć znaczenie naszych przedstawicieli w Radzie Państwa, nawet w Izbie, ale przecież trzeba ostatecznie trzymać się praw, które mamy, i nie pozwalać na uszczuplanie ich, o ile to leży w zakresie naszej możliwości.

A sens moralny tej historii prawdziwej?

Łatwe do zrozumienia jest głębokie oburzenie naszej opinii publicznej z powodu wniesienia sprawy chełmskiej. Oburzenie to wzrosło naturalnie, kiedy projekt przejdzie, mniejsza o to, czy przez uchwałę izby, czy też w drodze rozporządzenia rządowego. Konsekwencją, pierwszym odruchem będzie domaganie się złożenia mandatów przez posłów naszych. Ponieważ zwolennikom usunięcia się reprezentacji naszej z Izby wystąpienie p. Milewskiego dostarcza argumentu, trzeba przestrzedz przed łatwą analogią i podkreślić jeszcze raz, że następstwo kroku tkwi w osobie, która go dokonała. Nie znaczy to wcale, abyśmy z góry przesądzały, że posłowie nasi ustąpić nie powinni. Bynajmniej. Być może, że krok taki będzie w danych warunkach wskazany — któż przyszłość nawet najbliższą przewidzieć może? W tym wypadku wreszcie musi być aktem zbiorowym, co zgoła zmienia jego charakter.

Nie o ustąpienie zresztą chodzi. Miłoby ono było uczuciu każdego, jako jedyna dostępna forma protestu. Pozostaje tylko otwarte pytanie teoretyczne o wartości protestów wogóle i praktyczne: co dalej? Ustąpić łatwo, ale co potem? Nowe wybory, czy zrezygnowanie zupełne z obecności Polaków tam, gdzie będą radzili o ich losach?

Tu właśnie tkwi kwestya główna, nie poboczna. Od odpowiedzi na to ostatnie pytanie będzie zależało i wskazanie, co mają uczynić posłowie nasi, kiedy cały naród zostanie boleśnie dotknięty wyłączeniem części Królestwa. Do odpowiedzi mamy czas krótki — zaledwie okres feryi parlamentarnych.

Szanownych prenumeratorów „Tygodnika Ilustrowanego” prosimy o wniesienie opłaty na kwartał trzeci roku bieżącego.

POŻEGNANIE PROFESORA REHMANN.

WYSTAWA KOŚCIELNA WE LWOWIE.



Kolegium profesorów uniwersytetu lwowskiego pożegnało uroczysto w ostatnich dniach maja ustępującego z zajmowanej od wielu lat katedry geografii prof. Rehmana. Wybitny ten uczyony i znakomity pedagog wzbogacił mała u nas uprawianą dyscyplinę geografii kilkoma wybitnymi dziełami i wychował długi szereg młodych adeptów nauki, którzy, pracując już to naukowo, już to pedagogicznie, jako nauczyciele w gimnazjach, osiągają w pracy swej, dzięki metodom, od prof. Rehmana uzyskanym, wybitne rezultaty.

Fot. M. Münz.



Od tygodnia otwarta jest we Lwowie w pałacu sztuki na placu powystawowym wystawa aparatów kościelnych, ołtarzy, krzyżów i wogóle wszystkich przedmiotów, używanych w rytuale zarówno zachodnim, jak i wschodnim. Wystawa ta, urządzona głównie staraniem ks. arcybiskupa Bilczewskiego, ma na celu zaznajomienie szerokiej kół publiczności z galicyjskim przemysłem krajowym, który ma dane jak najpiękniejszego rozwoju w przyszłości.

Fot. M. Münz.

„W szczerem polu“.

Z CYKLU: „WIEŚ“.

„Boże! Boże jedyny! kiej o szczęściu swem marzę: to śni mi się swój zagon na swój chlebus i warzę! Dwa stajonka jarzyny, dwa pszenicy, dwa żyta...“

A w pośrodku chałupa, a w chałupie kobieta! Taka sobie swoista, czy Maryna, czy Zocha, co—jak robi, to robi, a kiej kocha, to kocha!“

I—nie wiem, jak komu, ale mnie, ile razy byłem w szczerem polu i popatrzyłem po tej naszej ziemi, to zawsze mi się wydało, jakbym na jaką dziewczuchę poglądał.

Wiosna... Już rola, nikiej dziewczka
W przedślub—obmyła piersi gołe...
Już zagonami chodzi śpiewka,
Już Maciek wyrżał za stodołę,
Już i Maryśce się majaczy:
Zali gdzie boćka nie zobaczy?

Wyszła, zatknęła kieckę w pasie... patrzy przez palce, kiej przez szpary... A tak jej w duszy cosik ma się, jak onej ziemi pod siew jary, tak jej się cosik w ślepkach pali, że jeno pługa daj ze stali.

To kwiecień.

A potem przychodzi kochanek-maj, jak do narzeczonej dziewczyny, schodzi. No i kochanie gotowe, i weselisko, jak się patrzy:

Cztery niedziel w krąg,
Kiej w odpustny dzień w kościele
Przystraja się kierz, czy ziele
W nową kiść a pąk
Barwisty,
W nową kiść a pąk!



Błogosławieństwo pól.

Ustroili się wierzby, topól, brzózka, grab, grały ci im nie na kpiny, aż po same oczepiny trzy kapele ziab jeziorem! trzy kapele ziab!

Hulał młody maj, wywijał—w pierwszą parę rwał—żadnej družki nie pomijał, z każdą rosę, miody spijał, każdej słonkiem siał pod serce! każdej słonkiem siał!

A gdy dopadł wej
Młoduchy,
Gdy ją objął w pól,
Gdy przycisnął do pazuchy,
Rozwiały się kwietne puchy,
Jakbyś wiankiem suł
Panińskim—
Jakbyś wiankiem suł!

Wystrzeliły hen! miedzami ostromlecze, mak, wstały trzciny nad wodami, brzękły pszczołki czerśniami, wyrżał bzowy krzak okienkiem! zakwitł bzowy kwiat!

A potem, już po ślubie, po oczepinach—czerwiec.

Ziemia już matką.

Leży, jak była przed zimami,
Zanim ją mroźne skuły lody—

Z rodną nadzieją nad brózdami
Z potęgą życia w piersi młodej—
Silna—by dźwignąć każde brzemię
I wzniesić je kłosem ponad ziemię.

Już urodziła. Już zagonami ruń zielona w kłos przechodzi, już po niwach srebrne strugi żyta falują.



Z MONSTRANCYĄ.

I oto, jak na pierwsze chrzciny, idzie od wsi lud zbożny z procesją, bić pokłon macierzyństwu ziemi. Wieją nad nią chorągwie kościelne, dymią jej kadzidla woniące, wianuszki święcone po kopczykach granicznych zatykają.

I leci nad nią ze słowami Ewangelii prośba ludu o błogosławieństwo, pieśń-modlitwa, pieśń prośba...

Święty Boże! Święty Wielki!...

Od powietrza... głodu... ognia...
i wojny zachowaj nas, Panie!

A ziemia modli się spolem. Już urodziła... Więc karmi i żywi—dobra matka.

Już nad strugą białe gąski szczypią szczyk zielony, już na błoni stado żróbków na woli i bydełko granię na wygonie... A wokół wszystko rośnie i rośnie—już przez pól jakby żniwami zalatuje!

Mój Ty Boże jedyny!
Inni jeżdżą za morza!
Dla mnie niema na świecie,
Jak polskiego łan zboża!
Do kochania, do szczęścia

Jedno w myślach mi świta:

Swoja ziemia pod kłosem
I z dzieckami kobieta!

Boć i nigdzie większego szczęścia się nie czuje, jak w szczerem polu!

A i krzywdy nigdzie silniej!

KAZ. LASKOWSKI.

POLSKIE BIURO PRASOWE W PARYŻU.

O istnieniu polskiego biura prasowego w Paryżu społeczeństwo nasze dowiedziało się bodaj wówczas dopiero, gdy, przed rokiem mniej więcej, dzienniki zaczęły umieszczać odpowiedzi, nadchodzące ze wszystkich stron na ankietę Sienkiewicza. A jednak zapoczątkowanie i przeprowadzenie jej nie stanowi jedynej zasługi młodej instytucji. Biuro prasowe w Paryżu od pierwszych chwil istnienia rozpoczęło energiczną działalność, w której wspomniana ankietę, wywołana, jak wiadomo, wniesieniem do Sejmu pruskiego projektu prawa o wyłączeniu, jest tylko jednym momentem, wszakże w całej dotychczasowej akcji najważniejszym. Odpowiedzi, zebrane w jeden tom, w tych

dniach opuścić mają prasę. Jest to więc bez wątpienia chwila najodpowiedniejsza, aby zapoznać się z instytucją, tak pożyteczną dla interesów kraju, i przyjrze się temu, co dotychczas zdziałano. Galicyjska Rada Narodowa, powołując do życia biuro prasowe, postawiła na jego czele młodego publicystę, znanego czytelnikom *Tygodnika* z prac, które tu zamieszczał, p. Kazimierza Woźnickiego. Trudno było o wybór trafniejszy. P. Woźnicki, dzięki swym stosunkom w prasie międzynarodowej, zdołał zapewnić polskiej Agencji właściwe stanowisko, rzutkością zaś swą i energią sprawił, iż biuro w ciągu niedługiego stosunkowo istnienia wykazało obfity plon działalności, co wobec ujemnych skądinąd, jak później zobaczymy, warunków niełatwe było do osiągnięcia.

Wydawane stale i rozsyłane w ilości trzystu egzemplarzy biuletynu pozwalają prasie europejskiej czerpać wiadomości w sprawach polskich ze źródła dobrze poinformowanego, wolne od wszelkiego zabarwienia tendencyjnego, lub nieściśłości, od jakich roi się w artykułach korespondentów, nie obeznanych z istotą sprawy lub obcych specjalnym warunkom. Biuletyny polskiego biura prasowego podają fakty najważniejsze z całą bezstronnością, to też chętnie posilają się nimi takie nawet organy prasy, jak tutejszy *Temps*. Równoległe z tem biuro w miarę możności stara się prostować nieściśle informacje prasy zagranicznej, a w tym kierunku ma, niestety, pole do działania bardzo obszerne.

W chwili obecnej Agencja polska utrzymuje stały kontakt z kilkudziesięciu przedstawicielami francuskiego świata naukowego lub dziennikarskiego, a wśród osób, odwiedzających ją w poszukiwaniu informacji, częstym gościem bywa prof. A. Leroy-Beaulieu, dyrektor Szkoły Nauk Politycznych, jeden z nielicznych w Paryżu znawców kwestyi polskiej.

Opierając się na ofiarności osób prywatnych i instytucji, biuro w działalności swej jest skrzepowane na każdym kroku. Pragnąc należyć, aby biuro pozyskało trwałą podstawę materyalną, która by pozwoliła mu na dalszy rozkwit i rozwinięcie wzmożonej działalności. Będzie to możliwe do uskutecznienia wówczas, gdy większa ilość jednostek lub zrzeseń poprze usiłowania komitetu, czuwającego nad sprawami biura i zabiegającego o pozyskanie funduszy. Do komitetu tego należą: książe Andrzej Poniatowski, bar. Gustaw Taube,



K. Woźnicki.

pp. Maurycy Lewandowski (jeden z dyrektorów banku paryskiego „Comptoir National d'Escompte”), Wacław Gąsztołt, Bronisław Kozakiewicz i Eugeniusz Korytko. Polskie biuro prasowo-informacyjne, poza wszystkim, co na jego korzyść może przemawiać, zdołało pozyskać jeden jeszcze dowód racji bytu, wymownie świadczący o rzetelnej jego dla kraju zasłudze. Dowodem tym jest nietajone niezadowolone prasy niemieckiej, która korzysta z każdej okazji, aby na Agencję polską zółć swą wylać i w oczach opinii publicznej powagę jej obniżyć. Biuro wszakże nie wytoczyło jeszcze najcięższego działu, jakie przygotowuje w kampanii, mającej wobec świata całego przedstawić we właściwym świetle dzieje i czyny rządu Wilhelma II na ziemi polskiej. Opuszczający tłocznię drukarską tom, w którym zebrane zostały wszystkie odpowiedzi na ankietę Sienkiewicza, będzie właśnie tem dziełem wielkiego kalibru. Zawarte tu głosy były, co prawda, drukowane częściowo w pismach, w miarę napływania; obecnie jednak utworzą zespół, który przez swą jednolitość tem większe niewątpliwie wywrze wrażenie. M. R.—SKI.



Strop krużganka 2-go piętra.

Plan restauracji Wawelu.

Po trzyletnich blisko pracach przygotowawczych i badaniach murów, konstrukcji i ocalałych jeszcze resztek świetnych ongi ozdób zamku królewskiego na Wawelu powziął ostatecznie krajowy komitet restauracji na posiedzeniu, w ubiegłym tygodniu odbytem, ostateczne postanowienia co do planu i kierunku, wedle którego roboty restauracyjne mają być prowadzone.

Planu całej restauracji naturalnie nie ustalono. Wymagałoby to bowiem znacznie więcej czasu, niż miał go dotąd do poświęcenia krajowy komitet, zbierający się raz do roku na kilkugodzinne posiedzenie. Zresztą i usiłowania te byłyby zupełnie zbyteczne, ponieważ restauracja Wawelu potrwa lata, i byłoby zgoła ryzykownym już teraz tak daleko w przyszłość zabiegać.

Komitet tedy zajął się tylko tym ułamkiem ogólnego planu restauracji, który ma być wykonany w najbliższym trzyleciu, decydując się na postanowienia ważne i o charakterze całej dalszej restauracji w znacznym stopniu rozstrzygające.

Otóż co do tego charakteru, to komitet rozstrzygnął, że będzie on czysto—*konserwatorski*. Trzeba tu bowiem zaznaczyć, że w kwestii kierunku ogólnego restauracji walczyły z sobą dwie opinie—rekonstrukcyjna i konserwatorska. Zwolennicy pierwszej pragnęli mieć zamek doprowadzony, o ile możliwości, do tej postaci, którą miał za czasów zygmuntońskich. Rekonstrukcja taka wymagała nie tylko usunięcia wielu szczegółów, które do budowli wniosły czasy późniejsze, ale także odtworzenia innych szczegółów, o których istnieniu zachowały się tylko nie dość zresztą pewne wiadomości, lub dorobienia ich wprost w drodze zupełnie swobodnej twórczości, a jedynie w ogólnym charakterze renesansu, który zamek królewski w czasach zygmuntońskich posiadał.

Zwolennicy opinii konserwatorskiej potępiali znowu wszelką mniej lub więcej swobodną rekonstrukcję, jako bądź co bądź falsyfikowanie zabytku tak ważnego i cennego, jak Wawel, i stali na tem stanowisku, że zadaniem restauracji może być tylko przedewszystkiem zabezpieczenie zamku przed zniszczeniem, uczynienie go przydatnym do tych celów muzealnych, dla których ma być przeznaczony, i odświeżenie tylko tych szczegółów jego budowy, które się dotąd zachowały, z pozostawieniem całokształtu budowli takim, jakim go generacja nasza zastała.

Zjawily się także i inne projekty przemiany całego wzgórza wawelskiego w jakieś *sanctissimum* narodowe w rodzaju Akropolu polskiego, ale projekty te, będąc płodami bujnej i z rzeczywistością nie liczącej się fantazyi, miały o tyle tylko wartość,

o ile ta rodząca je fantazyja, była, jak u Wyspiańskiego, rzeczywiście potężna i twórcza.

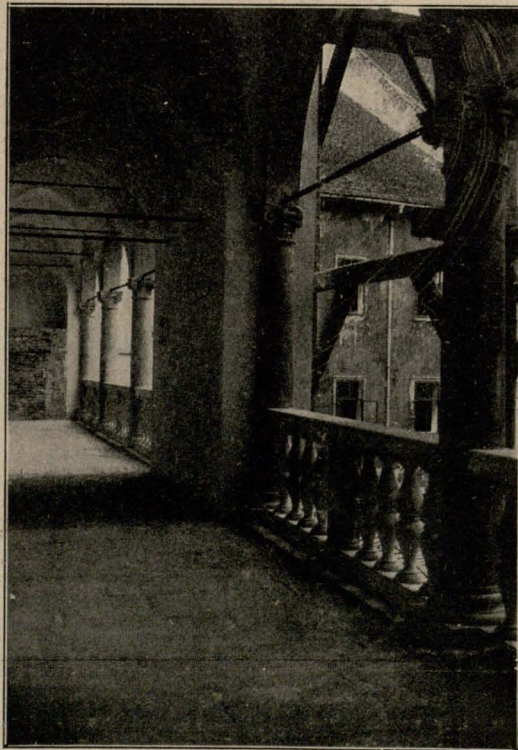
Krajowy komitet restauracji przychylił się do opinii konserwatorskiej i, akceptując w znanym projekcie pana Hendla jego części, na konserwacji polegające, nie zaaprobował innych, które, jak zmiana sylwety dachu, poprowadzenie dymników, kolorowy dach z polewanej dachówki i t. p., były natury wybitnie rekonstrukcyjnej.

Przedewszystkiem komitet postanowił nakryć cały Zamek dachem na konstrukcji wyłącznie żelaznej, której budowę rozpoczęła już krakowska fabryka Zieleniewskiego. Dach będzie pokryty dachówką czerwoną zwyczajną, w taki sposób, że istniejące pokrycie uzupełni się tylko w miejscach, naprawy wymagających, nowymi wstawkami. Dach zyska na tem to, że od razu będzie miał pewną patynę wieku, a przytem będzie mniej kosztował.

W miarę zakładania konstrukcji dachowej odbywać się będą roboty pionowe, głównie koło odślonienia kolumn, podpierających stropy dziedzińcowych krużganków. Jak wiadomo, kolumny te dla umocnienia ich obmurowali Austriacy ceglami, przestawiając lekką renesansową kolumnadę w szeregi ciężkich, kwadratowych, grubo wytynkowanych słupów. Otóż komitet zgodził się na projekt p. Hendla, aby kolumny te z tych płaszczów austriackich uwolnić i przywrócić im dawny ich wdzięk i lekkość. Jak widać na fotografii, przedstawiającej odrestaurowany na próbę koniec skrzydła południowego, kolumny przedstawiają się istotnie bardzo pięknie i pozwalają już nabrać pewnego wyobrażenia o wspianym wyglądzie, jaki uzyskają kolumnady dziedzińcowe po ukończeniu całej ich restauracji.

Stropy krużganków będą pokryte kasetonami, bogato profilowanymi wprawdzie, ale bez proponowanych pierwotnie rozet. Na ścianach zaś odnowione zostaną te freski, które na przestrzeni całej jednej połowy drugiego piętra ocalały, a reszta odda się do pokrycia współczesnym malarzom. Odnowienie fresków powierzono najtęższemu u nas w tym względzie specjalście, p. Juliuszowi Makarewiczowi. Okna w ścianach pierwotnych zostaną przywrócone do dawnej wielkości, t. j. będą znacznie rozszerzone i przedłużone i ujęte w trójdzielne renesansowe obramienia kamienne. Ogrzewanie zaprowadzone będzie centralne. Dziedzińiec zostanie należycie odwodniony.

Tak więc sprawa restauracji Wawelu weszła wreszcie na pewne i ustalone tory. W ciągu najbliższych trzech lat zamek królewski pokryty zostanie dachem ogniotrwałym, a dziedzińiec jego doprowadzony będzie do pierwotnej wspianości. W wielkiem tem zadaniu, które bieg życia postawił naszej generacji, będzie to już część bardzo



Strop krużganków 1-go piętra, po odnowieniu.



Odnowiona na próbę część skrzydła południowego. Dach pokryty wielobarwną dachówką, kolumny odślonięte.

znaczna i podstawowa. Miejmy nadzieję, że reszta pójdzie znacznie łatwiej, skoro początek nie okazał się znowu tak bardzo trudnym. K. S.

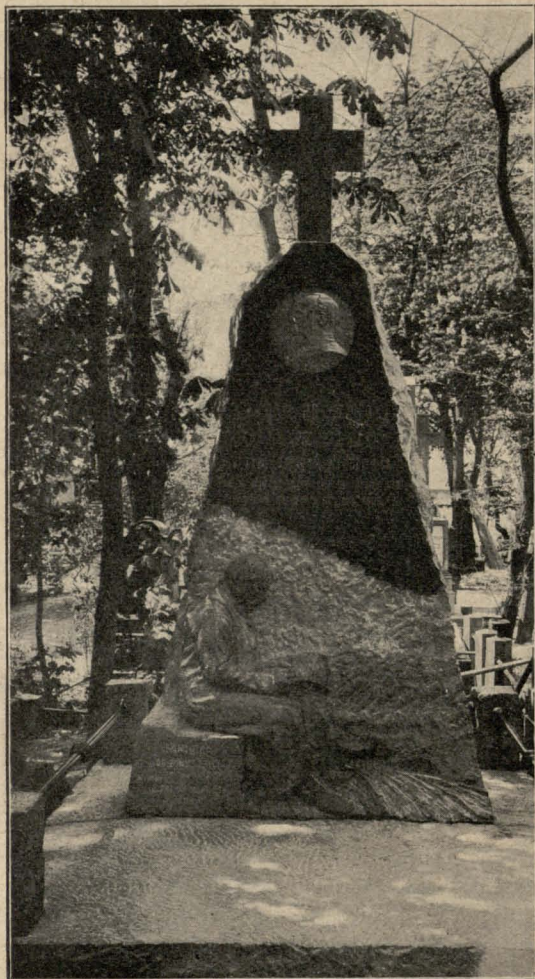
KRAKÓW NA WULKANIE.

Sobotni dzień był dla Krakowa w całym tego słowa znaczeniu feralnym i wstrząsającym. Jeszcze ludzie nie ochłonęli z głębokiego wrażenia, które wywarła na nich tragiczna śmierć ś. p. dra Włodzimierza Lewickiego, kiedy o godzinie 7 i pół wieczorem w czasie krótkiej burzy piorun uderzył w jeden z licznych magazynów prochowych, położonych za Podgórzem pomiędzy Bonarką a Wołą Duchacką, w odległości jakich sześciu kilometrów od rynku krakowskiego. Dach magazynu stanął w płomieniach, a w kilka chwil potem straszliwa detonacja wstrząsnęła dosłownie całym Krakowem. Dwanaście tysięcy kilogramów prochu bezdymnego eksplodowało. W promieniu jakich dziesięciu kilometrów potężny prąd powietrza powywracał budynki, poobalał drzewa i pokaleczył setki ludzi. W Krakowie w jednej sekundzie wypadły z okien tysiące szyb. Prąd powietrza był tak silny, że, wieńcowe wieżyczki na wieży Maryackiej pogięły się, a ona sama przechyliła się bardzo nieznacznie. W piwnicach zaś w sklepach w Rynku powypadały z zawias ciężkie podwoje żelazne.

Wszystko to jednak byłoby jeszcze niczem, gdyby nie istniejące nadal niebezpieczeństwo dalszych, znacznie groźniejszych wybuchów. Oto magazyn pali się dalej, a przystąpić do niego niepodobna, ponieważ wybuchają w nim co chwila szrapnele, rozrzucając na wszystkie strony kawały żelaza, opłków i kul. W miejscu wielkiego magazynu utworzył się formalny krater, z którego co chwila wylatują rakiety szrapneli, siejąc wokół zniszczenie. Wojska otoczyły naturalnie całe miejsce katastrofy wielkiem kołem, nie dopuszczając nikogo na odległość jednego kilometra od tego sztucznego krateru. Straszne niebezpieczeństwo jednak trwa dalej, ponieważ pod magazynem znajdują się ogromne piwnice, wypełnione po same brzogi dynamitem i melinitem. Jeżeli ogień dojdzie do tych piwnic, pół Krakowa wyleci w powietrze. O gaszeniu ognia nie może być i mowy, ponieważ wybuchające ciągle szrapnele grożą śmiercią każdemu, kto na odległość pięciuset metrów zbliży się do magazynu, obok którego w niewielkich odstępach znajduje się 7 innych magazynów...

Wszystko zależy od tego, czy potężne betonowe sklepienia, które oddzielają pałacy się skład szrapneli i granatów od piwnic, wytrzymają tę próbę ognia i nie popękają. Gdyby sklepienia runęły, katastrofa, zupełnie w następstwach nieobliczalna, byłaby nieunikniona.

ODSLONIĘCIE POMNIKA



Pomnik Promyka na Powązkach, dzieło artysty-rzeźbiarza, Czesława Makowskiego. Odsłonięcie pomnika nastąpi 15 b. m.

PORTRETY NA DOBIE.



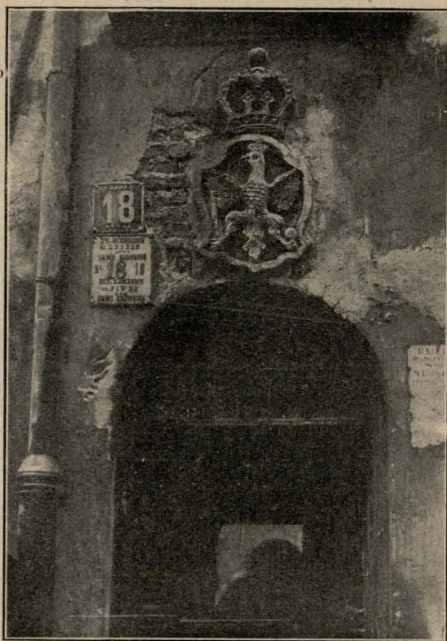
Dr. Franciszek Kijewski, ordynator oddziału chirurgicznego szpitala Św. Rocha, z powodu 25-lecia pracy lekarskiej.

„BOHATEROWIE” NA SCENIE TEATRU NOWOŚCI.



Grupa artystów Teatru Nowości z reżyserem Ludwikiem Śliwińskim na czele, który wystawił nową, melodyjną operetkę „Bohaterowie”, cieszącą się wielkim powodzeniem. Święci w niej prawdziwe tryumfy nowa primadonna naszej operetki, p. Messalówna (na grupie pierwsza z lewej strony), czarująca słuchaczy swoim wdziękiem, werwą i dźwięcznym głosem.

URATOWANA PAMIĄTKA.



Staremu Miastu przybyła piękna ozdoba, przez długie lata przypadkowo czy umyślnie tynkiem zakryta. Jest to świetnie zachowany orzeł, wykuty w piaskowcu, na frontonie domu Nr 18, przy ulicy Piwnej. Dziś, gdy ginie tyle dawnych pamiątek, witamy radośnie odnalezioną wspaniałą godło.

Pokłosie
wydawnicze.

Ignacy Chrzanowski, Władysław Nehring, wspomnienie pośmiertne, Warszawa, 1909.

Książka niniejsza składa się z dwu części: w jednej z nich Ignacy Chrzanowski, uczeń zmarłego w dniu 30 stycznia r. b. profesora uniwersytetu wrocławskiego, ś. p. Władysława Nehringa, w cie-

plych barwach kreśli portret uczonego, pedagoga i człowieka. Jest to, dotychczas, najobszerniejszy, najbardziej szczegółowy i pełny wizerunek znakomitego autora „Altpolnische Sprachdenkmäler”, sławisty, językoznawcy, krytyka i historyka literatury, wydawcy i komentatora zabytków średniowiecznego naszego piśmiennictwa. W dalszym ciągu poświęca p. Chrzanowski kilka kart zasługom pedagogicznym zmarłego, jako znakomitego profesora i kierownika seminarium, z którego wyszedł cały szereg wybitnych w nauce polskiej pracowników (Bobowski, Babiacyk, Biskupski, Danysz, Erzepki, Kąsinowski, Leciejewski, Locwenfeld, Mańkowski, Rowiński, Rzepecki, Snowacki, Szastecki, no i dodajmy od siebie — Chrzanowski). Wreszcie — i to musi być policzone Nehringowi, że całe życie był i pozostał Polakiem, dla polskiej nauki pracował — „Polakiem urodził się Władysław Nehring, Polakiem był przez całe swoje życie, i Polakiem umarł — na biednej, oderwanej od ramion Macierzy, ziemi śląskiej”, temi słowami kończy autor swe „wspomnienie”, które jest przedewszyst-

kiem aktem czci i hołdu, złożonego na mo- gile zasłużonego i szlachetnego męża. W drugiej części książki inny z uczniów Nehringa, p. Adam Babiacyk, zestawia skrupulatnie bibliografię jego prac naukowych.

Koniec kryminalnego
romansu.

Nie przebrzmiało jeszcze echo sensacyjnego procesu, gdy oto 5 b. m., padł jakgdyby piorun z jasnego nieba, który w niwecz obrócił wszystkie przypuszczenia i „przekonania”, jakie wielu ludzi zdołało sobie „wyrobić” o sprawie tej kobiety, w znaczeniu ujemnym bardzo niezwykłej. Janina Borowska zamordowała swego obrońcę, dr. Włodzimierza Lewickiego. Motywy tego czynu pozo-



Dr. Włodzimierz Lewicki

staną, zdaje się, długo jeszcze osłonięte mrokiem tajemnicy. Gubią się one bowiem w otchłani zwyrodniałej duszy tej kobiety, gdzie płaczą się w jakiś potworny węzeł sprzeczności, niedorzeczności i niepożyteczności moralnej. Wiele przemawia za tem, że motywy strasznego czynu były erotyczne. Miotana zazdrością, a z natury nie równoważona kobieta pochwyciła za broń morderczą. Istnieją



Janina Borowska.

ednak także inne przypuszczenia. Oto, że ś. p. Lewicki miał przyjąć w posiadanie dowodów stosunku Borowskiej z ochraną, w charakterze jej płatnej agentki. Dowody te postanowiła Borowska za wszelką cenę wydestakować i zniszczyć. Ś. p. Lewicki był to 41-letni adwokat, który teraz właśnie dochodził do szczytu swej wziętości. Była to natura łatwo zapalna, niegdyś mówca wiecowy i demagog pierwszorzędny, autor kilku dramatów, polityk, przerzucający się z obozu do obozu od najczerniejszego socjalizmu aż do ks. Stojałowskiego w jego najsmutniejszej erze, człowiek, lubiący żyć i użyć. Zginął wtedy właśnie, kiedy pole życia i użycia otwierało się przed nim szeroko.

Feliks Witold Nowicki. Pod czarem, erotyki, Warszawa - Kraków, 1909.

Nie szukajmy w poezjach p. Nowickiego, poety, który po raz pierwszy staje w szeregu dzieci Apollina, zawrotnych wirów, ni namiętnych uniesień, żarów zmysłowych, ni „nagością beczelnych” objawień żądz. Erotyki to, co się zowie, *comme il faut*, chciałyby się powiedzieć, konwercjonalne, salonowe. Ale byłoby to niesłuszne, gdyż, mimo iż ten i ów z tych wierszy nie wznosi się nad poziom poezji sztambuchowych, niezmiernie, oczywiście ciekawych i cennych dla tych,

ZAGADKOWY ZGON.



Józef Pergament, poseł miasta Odessy, zmarł nagle na wieść, że wytoczono mu sprawę karną.

ZMARLI.

ALEKSANDER TRYLSKI, ziemianin, przemysłowiec i literat, zmarł w Warszawie, w wieku lat 64. Urodzony w majątku rodzinnym w Pawłowicach, ukończył nauki średnie w instytucie szlacheckim, poczem wstąpił do Szkoły Głównej, a po jej zamknięciu do instytutu rolniczego w Puławach. Wypadki współczesne wytrąciły go z naturalnego biegu wykształcenia; wyjechał na Śląsk, i dopiero śmierć ojca i konieczność zajęcia się zarządzeniem majątku spowodowały powrót jego do kraju. W roku 1877 przenosi się do Warszawy, nabywa *Gazetę Rolniczą* i kończy wydawnictwo *Encyklopedy Rolniczej*. Od roku 1873 prowadzi to-



warzystwo udziałowe handlu maszynami i narzędziami rolniczymi, które potem zamienia się na wielką i popularną firmę „Kowalski i Trylski”. Równocześnie ma dość czasu, aby pisywać artykuły rolnicze i ekonomiczne, wydawać dzieła rolnicze, zwłaszcza z zakresu hodowli owiec, w której nieboszczyk był jednym z najznakomitszych specjalistów, ba, nawet pisywał pełne zgrzyliwej ironii i dowcipu „fraszki” pod pseudonimem „Faustyn Bicz”. Bardzo rozgałęzione stosunki towarzyskie, pogodna szlachecka otwartość w obejściu, wybitne zalety serca i umysłu sprawiły, że ś. p. Aleksander Trylski był ceniony i kochany w szerokich kołach towarzyskich.

Najlepsze **Kakao, Czekolada, Cukry deserowe**
J. FRUZIŃSKI.

LEOPOLD KOCH, MIODOWA 2.
„ENGLISH CLOTHING HOUSE”.

MEBLE STYLowe M. KALMUS
MARSZAŁKOWSKA 141. TELEFON 28-87.

Najlepsze perfumy, mydła i wody kolońskie S. J. Czepelewskiego
Żądać wszędzie.

PIWO DROZDOWSKIE marcowe, kuracyjne
sprzedaż wszędzie.

WARSZ. TOW. AKC. „MOTOR” poleca:
Sole do kąpielii NAUHEIMSKICH z kwasem węglowym.
Sole do kąpielii BALSAMICZNYCH z kwasem węglowym.
Sole do kąpielii JODOWO BROMOWYCH z kw. węgl.
Sole do kąpielii SIARCZANYCH z kwasem węglowym.
Sole do kąpielii ELAZYSTYCH z kwasem węglowym.

BIELIZNA MĘSKA I DAMSKA
K. Dutkiewicz, Ś-to Krzyska 30, w Warszawie.

Groby polskie w Saratowie.

Nie zawsze i nie wszystko można było pisać i drukować z tego, co się czuło i widziało.

W przymusowej podróży na Wschód europejski oparłem się o Saratów, gdzie przemieszkowałem od r. 1899 do 1902. Poznając miasto i zwiedzając jego pamiątki, błędziłem po cmentarzach miejscowych, a było ich w owym czasie kilka: katolicki, prawosławny, ewangelicki, starowierców, karaimów, subbotkinów, Tatarów.

(Oprócz cmentarzy czynnych były też dawne, wypełnione już i od pewnego czasu nie używane).

Na takim starym prawosławnym cmentarzu, na którym niegdyś grzebano i katolików, gdy jeszcze swojego cmentarza nie mieli, znalazłem grobowce, które ze względu na napisy zwróciły moją uwagę. Odcyfrować napisy było rzeczą dość trudną, bo na opuszczonym cmentarzu przeprowadzono ulicę, rozparcelowano terytorium, pousuwano i poprzewracano pomniki.

Nagrobki, o których wspominam, znalazły się w oplakany stan, jak to wskazuje fotografia, zdjęta z natury. Jeden leżał poza domostwem, a drugi, na środku podwórka, służył za ławkę kamienną.

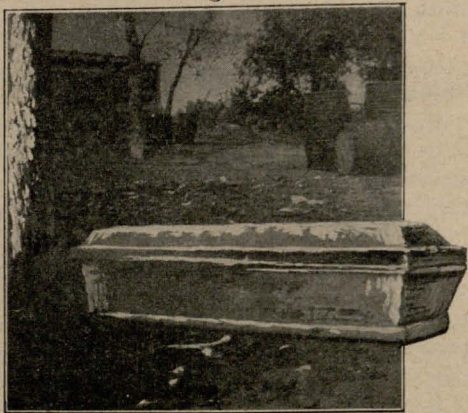
W danej chwili, gdy kroki swe bezwiednie tam skierowałem, na kamiennym dość wysokim nagrobku leżało mnóstwo obierzyn i stał żłób, przy którym paść się koń. To otoczenie życia i natury nie powiem żeby na mnie przykre zrobiło wrażenie. Pałące słońce skwarne-go lata poprzez liście drzew rzucało jasne plamy i cienie na ten obrazek, łączący w sobie przeszłość i terażniejszość, śmierć i życie. Wyczuwając nastrój chwili, wzrok mój dojrzał kilka liter łacińskich, wrytych na kamieniu. Rzecz niepowszednia na tym cmentarzu, nachyliłem się bliżej, czytam: „Mickiewicz”.

Obierzyny zrzuciłem, żłób zestawiłem, a wydmuchawszy z załomin liter ziemię, czytałem:

Hic jacet

Stephanus Mickiewicz

Stab-medicus, alumnus univ. Vilnensis. Natus gubern. Minscensiae anno D-ni 1792, mortuus anno 1825, mensis februarii 20 die.



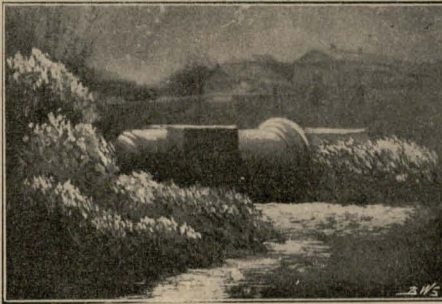
Nagrobek Stefana Mickiewicza z 1825 r. na dawnym cmentarzu.

W drzewie genealogicznem wieszczą żadnego Stefana Mickiewicza nie było, bądź co bądź, imiennik Adama i wychowawiec wszechnicy wileńskiej zasługiwał z tego tytułu na pamięć bodaj tych rodaków, którzy w Saratowie mieszkali. Powziąłem myśl odnowienia i zabezpieczenia nagrobka.

Wracając z takim postanowieniem, natknąłem się na powalony pomnik, z koloro-

wego polerowanego granitu. Część napisu leżała w trawie, mimo to, nachyliwszy się, można było odczytać złą polszczyznę zredagowany następujący napis:

Pod tym monumentem spoczywają zwłoki J. Wielmożny Hrabini Bieliniki z domu Ksienicznicki Galicki marszałkowy nadwornej koronnej całej Polski, starościny Garwolińskiej, urodziwszy się w r. 1775, zmarłszy w roku 1826 na 51 roku wieku swego.



Nagrobek marszałkowej Bielińskiej, zmarłej 1827 r., na dawnym cmentarzu w Saratowie.

Akta kościelne i historia dopowiedziały resztę.

„Bieliniki” wryto zamiast *Katarzyny Bielińskiej*, a „ksienicznicka Galicka” zamiast *Golicyn*, wreszcie mylnie napisano datę, bo, podług ksiąg kościelnych, żona smutnej pamięci marszałka sejmu grodzieńskiego z r. 1793, zmarła dnia 8 lipca r. 1827.

Bieliński za zasługi, położone na sejmie grodzieńskim, został z łaski ambasadora Sieversa marszałkiem nadwornym koronnym „cały Polski”, jak głosi napis.

Syn Bielińskich, *Stanisław*, zmarł w Saratowie, jako katolik, dnia 10 czerwca r. 1837 i pochowany został na tym cmentarzu, nagrobka jednak nie znalazłem, jedyny ślad pozostał w księgach parafii saratowskiej.

Tam też odnalazłem wspomnienie, że w r. 1838 pochowano zwłoki ś. p. *Aleksandra Potockiego*, ur. w r. 1795, śmierć zaskoczyła go w podróży, a dnia 20 kwietnia r. 1843 złożono zwłoki *Pauliny Szemeszowej*, córki Ewy Felińskiej, a siostry b. arcybiskupa warszawskiego. Szemeszowa przebywała tutaj, dzieląc wygnanie z mężem swym, Adamem, b. studentem filozofii na uniwersytecie wileńskim, zmarła, licząc zaledwie lat 33. Wiadomości te należało uwidocznic i przekazać pamięci rodaków.

Jedyną racjonalną rzeczą było przeniesić istniejące pomniki na dziedziniec kościoła rzymsko-katolickiego, pomnik i napisy odnowić, a dla Pauliny Szemeszowej ufundować tablicę. Omówiwszy to wszystko w łonie kolonii polskiej w Saratowie i uzyskawszy poparcie materialne, przystąpiłem do sprawy. Sądziłem, że bezpośrednio uzyskam zezwolenie władz na zabranie starych pomników, walących się na dziedzińcach i placach po dawnym cmentarzu. Omyliłem się jednak: żeby przystąpić legalnie i jawnie do zebrania pomników bez poruszania prochów, złożonych tam przed kilkudziesięciu laty, musiałem uzyskać zezwolenie gubernatora, konsystorza prawosławnego i komisji archeologicznej (nigdy nie funkcjonującej).

Po załatwieniu niezbędnych formalności, co potrwało kilka tygodni, głązy ruszono z posad, gdzie trzy ćwierci wieku stały, i odwieziono je do kamieniarza. Po odrestaurowaniu pomniki ustawiono na podmurowaniu z cegły w zewnętrznym załomie kościoła, obok wejścia do zakrystyi, i otoczono balustradą metalową.

Nad pomnikami, uzyskawszy pozwolenie miejscowego proboszcza, a późniejszego biskupa, hr. Jerzego Szembeka, i jego następcy, ks.

kanonika Sztanga, wmurowałem dwie tablice kamienne.

A. D. 1901.

Czcząc pamięć instytucyi, z któremi zmarli pośrednio złączeni byli, odrestaurowano nagrobki ś. p. Katarzyny Bielińskiej, żony mar. Sejmu grodzieńskiego z 1793 r., oraz ś. p. Stefana Mickiewicza, lekarza, ucznia uniwersytetu wileńskiego, i przeniesiono je z dawnego ogólnego cmentarza nad Wołgą.

Kolonia Polska.

Druga tablica, obok wmurowana opiewa:

Ś. P.

Paulina Szemeszowa

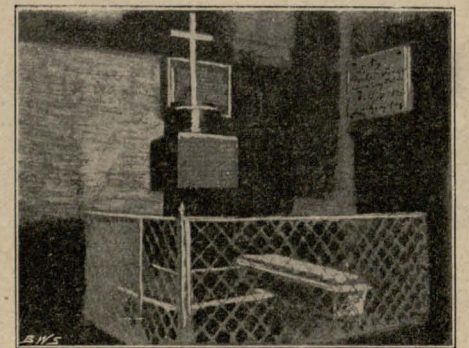
córka Ewy Felińskiej, siostra Zygmunta, arcyb. warszawskiego, mając lat 33, † w Saratowie d. 18/IV 1843 r., pochowana na starym cmentarzu nad Wołgą, gdzie do 1846 r. chowano i katolików. Tablica 1901 r. kosztem kolonii polskiej ufundowana.

Gdy wszystko już było gotowe, pomniki po mszy św. żałobnej za dusze wyżej wspomnianych zmarłych zostały poświęcone i oddane pod opiekę dozoru kościelnego. Koszty wyniosły 69 rb. 30 kop., które zebraliśmy pomiędzy sobą. Pośrednictwa w zbieraniu i kontroli w wydatkach łaskawie podjęli się pp. dr. Uziembło, Stanisław Roszkowski, inżynier H. Cywiński i T. Białostocki, jedni z najenergiczniejszych członków ówczesnej kolonii polskiej w Saratowie.

W ten sposób rodacy, zagnani losu koniecznością zdala od kraju, niech żywo mają w pamięci i zasłużone nazwisko Felińskich, i świadectwo, że była kiedyś Polska z sejmem, że był urząd marszałka, że był uniwersytet wileński, że byli rodacy, którzy tu żyli, tęsknili, pomarli...

Lepiej czasem mówić o instytucjach samych i urzędach, niż o tych, którzy je w danym momencie piastowali. To miałem na pamięci, odnawiając pomnik żony marszałka sejmu grodzieńskiego.

Zajrzyjmy teraz do cmentarza nowszego, na którym od r. 1846 chowano już tylko katolików. Na nagrobkach przeważnie napisy niemieckie, bo katolicy-Niemcy stanowią przewagę w dyecezyi tyraspolskiej. Spotykamy jednak, oprócz polskich, napisy rosyjskie i francuskie. Słowem, pod tym względem napozór olbrzymia tolerancja, dopiero rozpatrzywszy się bliżej, widzimy, że na niektórych krzyżach drewnianych wryte napisy zalepione były ki-



Nagrobki na dziedzińcu kościelnym w Saratowie.

tem. Z biegiem czasu kit wypadł lub popękał, a napis stał się widocznym:

„*Wielki Boże, zbaw lud, cierpiący na ziemi, i dusze zmarłych w niewoli*“. Polak Tomasz Budny z Płockiego, to znowu Mikołaj Rychelik z Krakowa, Alojzy Dobrosław Olski z Łowickiego, Marcin Gryziecki z Galicyi, Andrzej Sieradzki z Mazowsza, wszyscy zmarli w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia, wszystkim postawiono krzyże takie. To też karta historii dziejów narodu naszego...

Idźmy dalej. Do najokazalszych nagrobków naszych należy kurhan, usypany nad zwłokami, i pomnik *Hipolita Szapolińskiego*

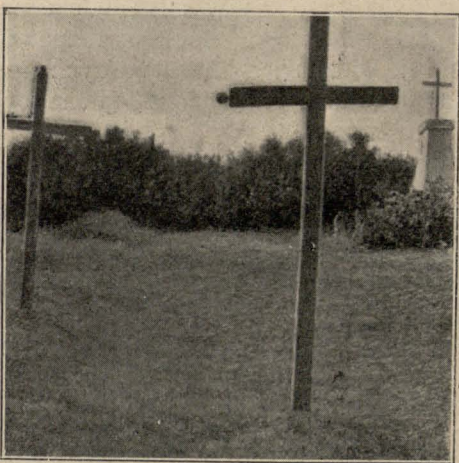


Nagrobek Litwina, d-ra Hipolita Szapolińskiego, zmarłego w 1858 r. w Saratowie.

Litwina, lekarza, który odbył kampanię węgierską, turecką i krymską, zmarł r. 1858.

Są tu mogiły: Antoniego Brzozowskiego z Podola, zm. r. 1849; ks. Tadeusza Nosowicza, kapłana unickiego z dyecezyi połockiej, zmarł roku 1856; ks. Ignacego Zakrzewskiego, kapucyna z dyecezyi sandomierskiej, zmarł r. 1862; Mikołaja Wroczyńskiego, obywatela gub. wołyńskiej, zmarł roku 1853 i t. d... tę długą listę wiadomą i niewiadomą z nazwisk zakończyć muszę nazwiskiem ś. p. Aleksandra Frackiewicza, starca przeszło 80-letniego, który za pomoc, okazywaną powstańcom po roku 1863, powędrował z Litwy do Irkucka, a potem osiadł w Saratowie. Mieszkał w przytułku, zmarł w szpitalu. Ułożyliśmy go do snu wiecznego w r. 1901.

Do osobliwości cmentarza saratowskiego należy grób Jana Mikołaja Saven'a, obywatela francuskiego, porucznika wielkiej armii Napoleona I, ur. w Rouen 17-go kwietnia r. 1768, zmarłego w Saratowie dnia 29 listopada r. 1894. Starzec ten przeżył lat 126, prawie do końca swojego długiego życia był zdrowy i czynny. Dostawszy się do niewoli w r. 1812, wysłany do Saratowa, jako jeniec, zaaklimatyzował [się



Krzyże zmarłych na wygnaniu z r. 1863, na cmentarzu w Saratowie.

i przeżył lat 82. Do końca życia pobierał emeryturę od rządu francuskiego, a na kilka lat przed śmiercią był jeszcze nauczycielem języka francuskiego w miejscowym gimnazjum. Pogrzeb weteranowi urządziło miasto, a na pomniku położono napis po rosyjsku: „Ostatniemu weteranowi wielkiej armii Napoleona“.

Cmentarz t. zw. „mogiłki” rozłożony jest na wzgórzach, skąd rozległy widok na miasto, a hen dalej na Wołgę, spokojnie toczącą swe fale coraz dalej i coraz głębiej.

MIECZYSLAW OFFMAŃSKI.

Sport zaniedbany.

Najmilszy, najzdrowszy, najbardziej dla młodzieży i nie tylko dla niej, ale i dla ludzi starszych odpowiedni sport — wioślarstwo — jest u nas w zaniedbaniu. Dość spojrzeć w godzinach popołudniowych na Wisłę. Znajdziemy na niej zaledwie kilkanaście łodzi, krążących pod flagą Towarzystwa Wioślarskiego, i drugie tyle łódek, wynajętych od przedsiębiorców z tamtego brzegu rzeki. To wszystko. Tymczasem w pierwszej lepszej sali bilardowej, na pierwszej lepszej werandzie kawiarnianej zbierają się o tej porze tłumy ludzi młodych, silnych, zdrowych, których mięśnie mogłyby z pożytkiem rozprostować się przy wiosle, a pierś, przyzwyczajona do kurzu miejskiego, odetchnąć swobodniej na szerokiej i wolnej przestrzeni.

Ale Wisła nie pociąga wielu. Ani cudowne zachody słońca na wodzie, kiedy Stare miasto stoi całe w ogniu po złoty słońecznej, ani ciche wieczory, kiedy woda szarzeje i nabiera stalowego połysku, ani noce, srebrne od gwiazd i wybielone poświatą miesiąca, nie przemawiają dość silnie do mało wrażliwego na piękno przyrody przeciętnego mieszkańca Warszawy. Woli on banalny spacer po ulicach, pełnych huków i wrzawy, woli swój codzienny mazagran w cukierni i płytka rozmowę o sprawach bieżących, niż piękną wycieczkę do Wilanova lub Bielana.

Woli zaś dlatego, że obawia się ruchu, powietrza, chłodu wieczornego i wody. Nadewszystko zaś wody. Umiejętność pływania, którą właściwie powinien posiadać każdy, która bodaj nawet mogłaby wejść do programu wychowania szkolnego, nie jest u nas rozpowszechniona w stopniu dostatecznym. Mało kto posiada tę sztukę, a wobec tego wielu, ohotnych nawet do wiosła, słusznie obawia się niebezpieczeństwa.

I to jest przyczyna, dla której Wisła, mimo że niejedno miasto może jej pozazdrościć Warszawie, tak małą odgrywa rolę w naszym życiu, tak mało jest wyzyskana przez nas dla rozrywki, przyjemności i ćwiczenia sportowego.

Oczywiście, że do zjawisk jeszcze rzadszych należą dalsze wycieczki w górę i w dół rzeki, iż do Czerwińska, Wyszogrodu, Płocka, Włocławka i Ciechocinka w jedną, a Dęblina, Puław, Kazimierza i Sandomierza w drugą stronę docierają tylko nieliczni członkowie Towarzystwa Wioślarskiego, gdy dla ogółu młodzieży warszawskiej całe pobrzeże Wisły, pełne swojskiego uroku, pozostaje obce i nieznanne.

To zaniedbanie sportu wodnego, mającego w innych krajach o wiele więcej zwolenników, niż u nas, wyrządza nam krzywdę, z której nie zdajemy sobie dostatecznie sprawy. Młodzież nasza staje się coraz bardziej słabą i wątłą, coraz liczniejsze mamy wśród siebie zastępy ludzi o zapadniętych klatkach piersiowych, o wątłych ramionach, o bładych i wycieńczonych twarzach, coraz mniej krzepkich, dobrze rozwiniętych, ogorzałych na wietrze i słońcu.

Rodzice i wychowawcy, którzy dbają o rozwój fizyczny młodego pokolenia, powinni wobec tego zwrócić baczniejszą uwagę na sport wioślarski i naprzód obowiązkowo uczyć młodzież sztuki pływania, a potem zachęcać ją do korzystania z Wisły, tej pięknej, domowej rzeki naszej, którą znamy tak mało...

Z. D.



W OJCZYŹNIE CYGAR.

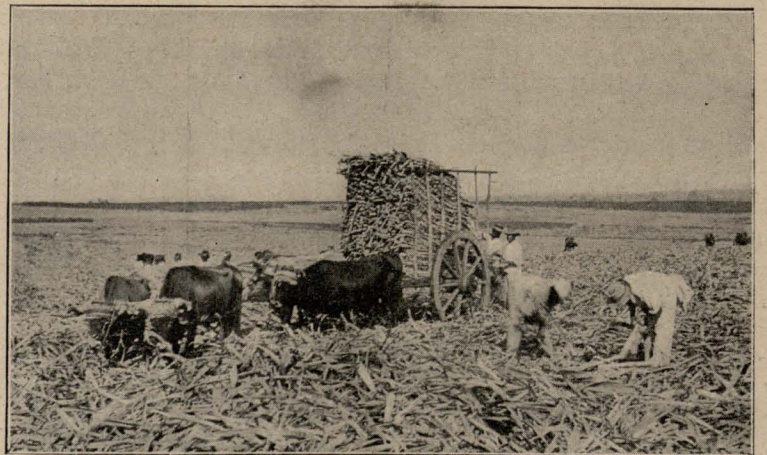
HAWANA. 2)

Jest to jednak wyjątek, bo wogóle dola emigrantów jest na Kubie niewesoła. Zbierając często ostatni grosz, jadą na niepewną przyszłość do kraju, którego klimat osłabiający nie nadaje się do pracy w polu. Od stycznia do maja, t. j. w czasie *zafra*, czyli zbioru trzciny cukrowej, pobierają płacę od 2 do 3 rubli dziennie. W maju, z nastaniem pory deszczowej, odczuwać się daje brak roboty, i szczęśliwy jest ten emigrant, który zbierał sobie przez pięć miesięcy tyle grosza, aby mu na powrót do kraju starczyło, a cena przejazdu do Hiszpanii trzecią klasą jest dość znaczna, wynosi bowiem 80 rubli na statkach wszystkich kompanii.

Stosunkowo lepiej się dzieje t. zw. *dependientes de comercio*, czyli subjektom sklepowym, ci bowiem przybywają w wieku lat 15—16 i zawierają kontrakt zwykle na dwa lata po 80 rub. miesięcznie, wraz z całkowitem utrzymaniem.

Życie klubowe jest tu dosyć rozwinięte, ale kluby są zabawką dość drogą, gdyż pobierają miesięcznie 10 do 20 rubli składki, oprócz tego osobno trzeba dopłacać za bale i festyny.

Bale na Kubie muszą się liczyć z temperaturą na sali balowej, bo przy 28° ciepła taniec nie sprawia wielkiej przyjemności. W wigilię Nowego Roku tańczyliśmy przy otwartych oknach, a mimo to brakło powietrza do oddychania. Gorący kli-



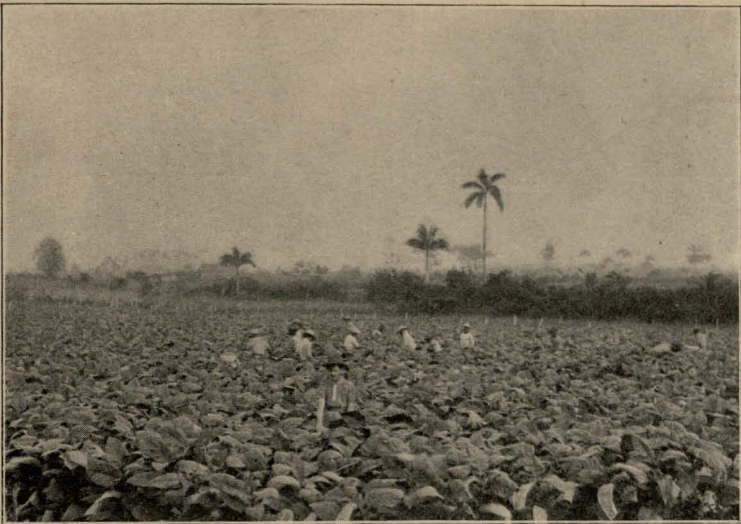
Zbiór trzciny cukrowej.

mat Kuby odbił się i na tańcu. Skoczne *danzon* o świdrującej uszy melodii tańczą tu bardzo powoli. Jest to prawie walc z przytupywaniem krolskim (*zopateado crillo*). Innym tańcem pospolitym jest *danza*, przypominająca *schottisch*. Kontredansa wcale tu nie znają, walca tańczą na dwa takty bez obrotu, zamiast polki amerykańskie *two step*.

Na obu wielkich balach, na których miałem sposobność być i przedstawić się J. E. Prezydentowi, Gomezowi, i gubernatorowi prowizorycznemu, p. Magoo, najpiękniejszą kobietą była Paryżanka czystej krwi. Piękność Kubanek wydaje mi się też odtąd nader problematyczną.

Degenerację rasy kubańskiej spostrzega się najlepiej na dzieciach, które wyglądają blade i cheralawo, mają przytem kształt głowy dziwaczny i nieproporcjonalnie rozwinięty. Widziałem chłopaków dziesięcioletnich z małą główką, jak u *microcephalów*, innym razem znów malców w pieluchach z wielką głową, jak u dojrzałego człowieka. W ruchach tych dzieci spostrzegać się daje coś obcego i małpiego, co najwidoczniej wykazuje, że połączenie rasy białej i czarnej daje rezultaty ujemne. A jednak na Kubie potrzeba, aby się rasy łączyły, bo czarna rasa jest więcej odporna, niż biała, a przytem mieszanie ras pozwoli na częściowe uniknięcie walki o przewodnictwo, co zawsze tu poważne może wywołać zamieszanie.

Po długoletnim powstaniu i wojnie r. 1898 plantacje trzciny cukrowej były bardzo zadłużone, bądź doszczętnie zrujnowane, kapitałów odczuwano brak dotkliwy, chyba na wysoki procent. Równ-



Plantacje tytoniu.



Czytanie podczas pracy w fabryce cygar hawańskich.

częście ceny cukru poczęły spadać raptownie. Położenie plantatorów było bardzo kłopotliwe, tem bardziej, że obszar gruntów pod trzcinę zwiększał się pomimo złych widoków z rokiem każdym. Dzięki energii i oszczędności przemysł cukrowniczy przetrzymał kryzys i wyszedł z niego zwycięsko. Po zawarciu traktatu ze Stanami Zjednoczonymi w r. 1902, oraz zniesieniu tak zwanych *exportation bonnties*, premii wywozowych, we wrześniu 1903 r. nastąpiła nowa era niebywałego rozwoju: nawet gdyby ceny spadły do 34 dolary za tonę, czyli tak nisko, że wszystkie inne kraje amerykańskie nie wytrzymałyby współzawodnictwa, Kuba jeszcze nie traciłaby na swej wytwórczości. Wyspa ta stanowi pole dla uprawy trzciny cukrowej prawie nieograniczone.

Cygara hawańskie, które kupują się na miejscu, a te, które się pod tą nazwą w Europie sprzedają, to dwie rzeczy różne. Na wywóz idzie zupełnie inny gatunek tytoniu, mianowicie słabszy, o liściu jaśniejszym. Tytuń ten sprzedaje się naturalnie taniej, w Europie zaś mieszają go z tytoniem krajowym. Najlepszy tytuń pochodzi z zachodniej części Kuby, zwanej Vuelta Abajo (t. j. części, zasłoniętej od passatów), z okolic Pinar del Rio, gdzie warunki gruntu i klimatu są najlepsze; liche tytonie, zwane *partidos*, konsumuje się na miejscu. Wartość eksportu tytoniu wynosiła w 1899 r. 42 miliony rubli, a w r. 1903—52, chociaż sam gatunek przez umiejętne zastosowanie wiedzy współczesnej został w ostatnich czasach znacznie ulepszony.

Do Hawany przysyłają tytuń w beczkach, potem go suszą, wreszcie zwiwiają na cygara, segregując wedle cech właściwych. Właścicielami fabryk są trusty amerykańskie, jak np. znana u nas firma Henry Clay, oraz domy hiszpańskie, jak Lopez Juarez i inne.

Z owoców tutejszych zasługują na wzmiankę *anona*, czyli *corazon*, pełna miążgi cukrowej odświeżającej, *mamey* wielkości małego melona, koloru czekoladowego, w środku czerwone z dużą czarną pestką, o smaku wymienionym, o wiele lepszym, niż naszego melona, *sapotille* słodkie i zdrowe, a co do ananasów, to kto nie jadł zwanych *de tierra*, nieco zielonych, odmiennych od tych, które idą na wywóz, jako kubańskie, ten nie jest zdolny zrozumieć, jak owoc ten może być słodki, soczysty i aromatyczny.

Roboty publiczne na Kubie nie zawsze były planowane dla rzeczywistego dobrobytu wyspy, często bowiem przedsiębiorstwa te przekształcały się w interesy prywatne, t. zw. *negocios de chivos* (interesy kozłów). Przedsiębiorca dawał łapówki osobom interesowanym, i kapitał początkowy roztrwoniony był w krótkim czasie. Na Kubie niema dobrego interesu bez łapówki odpowiedniej, zbywa tu bowiem zupełnie na dobrej wierze stron interesowanych.

Kto choć parę dni zatrzyma się w Hawanie, musi zauważyć wielkie składy towarów na ulicy Muralla, wartości paru milionów dolarów. Towary wzięte najczęściej na kredyt. Wogóle domy handlowe, rozporządzające nieraz wielkimi środkami, mają bardzo mały kapitał zapasowy. Handel, jak dotąd, znajduje się w rękach Hiszpanów, ale Amerykanie coraz bardziej wybitnie zajmują tu stanowiska. Niemcy mają kilka bogatych domów handlowych, fabryk cygar i banków. Francuzi pracują w konfekcyi i perfumeryi, na których milionowe robią interesy. Jedna z firm paryskich wydaje np. rocznie 50 tys. franków na reklamę. Opłaca jej się to, bo Kubańczyk przywykł płacić drogo, często zapożyczy się u przyjaciela, ale musi mieć flakon perfum oryginalnych, chociażby miał piętnaście rubli za niego zapłacić.

W Hawanie pełno jest ludzi, których sytuacja finansowa jest zupełnie nieokreślona; właściciele domów (składających się przeważnie z trzech lub czterech pokojów), posiadacze placów pod budowę i przeróżnych spekulantów moc tu niezliczona. Każdy z nich ma w swoim biurze maszynę do pisania, na której robi reklamę swoim przedsiębiorstwom, i rad jest, jeśli może cudzoziemca złapać na *negocio de chivos*. Kubańczyk ma wstręt do oszczędności, nie umie unikać wydatków, każdy choruje na wielkiego pana. Nic dziwnego, że ceny są wygórowane i że dobrej wiary publicznej wcale niema. Narówni z całą chmarą ciemnych spekulantów jest tu wielu ludzi, którzy pracą swą doszli do pieniędzy i znaczenia. Wielkie fortuny również przyczyniają się do wygórowanych cen życia. Ktoma sto tysięcy dolarów, jest dopiero średniozamożnym, mający pół miliona dolarów uważany jest za zamożnego, a co wyżej, dopiero zaczyna się bogactwo.

Dawniej mulaci i biali wspólnie uczęszczali na zabawy, wspólnie należeli do tych samych stronnictw politycznych. Dziś czasy się zmieniły, mulaci żyją wyłącznie między sobą i niechętnie patrzą na programy polityczne, przedstawiane przez białych. Nowa republika kubańska jest zu-

pełnie oddana na łaskę „kolorowych”, t. j. mulatów i murzynów. Sam prezydent Gomez jest mulatem, a wiceprezydent Zagos ciemnym mulatem. Partya „białych” nie jest zadowolona z takiego obrotu rzeczy, i ciężenie do aneksji przez Stany Zjednoczone ma na Kubie licznych zwolenników, chociaż potępiane jest otwarcie przez opinię publiczną i prasę. Nieraz czytałem w jednym z lepszych dzienników, *Diario de la Marina*, że żaden uczciwy Kubańczyk, nawet gdyby to groziło jego osobistą ruiną, nie może godzić się na przyłączenie Kuby do Stanów. Tymczasem wielu potajemnie sprzyja tej idei.

Wielcy plantatorowie, przeważnie Hiszpanie, widzą w tem dobry dla siebie interes z powodu zwyżki ceny gruntów, robotnicy zaś i rzemieślnicy radziby widzieli powrót jankesów ze względu na ustalenie normalnych warunków pracy. Podczas mej bytności w Hawanie był kryzys handlowy dość poważny: wielu hurtowników, mających towary sprowadzone na kredyt, żądało przedłużenia terminu wypłaty weksli. Wogóle w handlu znać tu ospałość i niechęć do obrotów z powodu niepewności sytuacji politycznej. Rząd Stanów Zjednoczonych, a raczej rządy gubernatora Magoona, skierowane są na Kubie ku dwóm głównym celom: asenizacji wyspy i budowie dróg. Asenizacja, prowadzona bardzo energicznie, polega na kanalizacji domów, osuszaniu błot, dezynfekcyi wszystkich prywatnych mieszkań za pomocą polewania naftą ścieków ustępowych, wreszcie na brukowaniu ulic, inspekcyi lokali fabrycznych, zakładów fryzjerskich i kąpielowych. Na dowód energicznej kampanii asenizacyjnej może służyć fakt, że w jednym tylko miesiącu grudnia 1908 r. asenizowano przeszło pięćdziesiąt sześć tysięcy mieszkań prywatnych w Hawanie, prawie więc tyle, ile liczy trzystutysięczne miasto. Polewanie naftą ścieków ma na celu niszczenie jaj moskitów, sprowadzających malaryę (*Anophales*) i żółtą febrę.

Dyrektor służby sanitarnej portu Hawany, dr. Ponce de Leon, człowiek bardzo uczony i uprzejmy, zawołany przytem filatelista, pokazywał mi okaz moskita *Stegomyia*, który odznacza się długością nóg, przegowanych w czarne i jasne pasy, niby szachownica. Z miesięcznika, wydawanego przez urząd sanitarny, można się łatwo przekonać, że żółta febra na Kubie wcale nie wygasła i że, choć mijają całe miesiące, w których niema ani jednego wypadku, jednak liczba zasłabnięć, potwierdzonych przez urząd sanitarny, wynosi stale 20 do 30 rocznie na całej wyspie, liczba zaś wypadków niepewnych lub ukrytych może być dwa razy większa. Dziś żółta febra nie może tu grasować epidemicznie, ale endemicznie istnieje wciąż, i to przeważnie w prowincyi Santiago de Cuba i w okręgu Dagui-ri, gdzie walka z moskitami w trudniejszych znajduje się warunkach.

WITOLD SZYSZŁO.



Sceny uliczne w Hawanie.

Kazimierz, wymknąwszy się już dawno z gabinetu, powracał pieszo do hotelu. Skoro tylko opuścił dym i gwar, poczuł nie tylko świeżość dnia, ale i radosną świeżość duszy. Szedł wolno wzdłuż parkanu ogrodu, zwanego „Cielętnikiem”, przy placu Katedralnym i, napotkawszy ławkę, usiadł.

Wino, szumiące mu w głowie, wzburzona młoda krew dziwne mu do mózgu sprostawały jasnovidzenia. Ani pamiętał już kolacji w garkuchni, ani bachicznej kompanii. Podniecone siły młodości rwały się gdzieś szlakiem pogodnego nieba, daleko stąd, w przestrzeń i w przyszłość. Ogarnął go rzewny i twórczy optymizm, moc ukochania rzeczy wielkich poprzez lichotę rzeczy otaczających. Kojarzyły się w nim same chwile szczytne jego istnienia, nikły pospolite; z mgły wspomnień dziecinnych wstawały, niby zapachami, jakieś pamiątki marzeń heroicznych; brzmiały mu w uszach młodzieńcze, wezbrane zapałem, pieśni uniwersyteckie; wszystkie pragnienia czynu i podboju przychodziły mu na pamięć, naznaczone na szarem pasmie dni ognistym śladem wyróżniającym. Ślad ten prowadził do jednego wspomnienia jasnego, które trwało niemal przed oczyma przytomne.

Była to piąta noc od owej, gdy wyjeżdżał z Rarogów—i ta sama godzina. Poczł ten sam dreszcz niedospania i zapach zaledwie budzącego się dnia. Ujrzał Krystynę u podjazdu, oświetloną czerwienią od domu rzutami światła, prostą, odważną. Przebiegł skróconem błyskawicznie wspomnieniem, jak snem, tę drogę do stacy, raz tylko w życiu widzianą, ale jasno pamiętną—od czarnych kłębow parku, w którym Ona pozostała, przez rosnące w barwy pola i lasy, aż do wschodu słońca nad jeziorami.

— Kochany kraj!—szepnął Kazimierz—tu moja droga i życie...

Nad miastem odradzał się nowy dzień siny, piętrzył się coraz wyraźniej kapryśny porost domów na wzgórzach aż do wyniosłych strażnic uniwersytetu i góry Zamkowej. Przez ciszę, czekającą na wybuch dnia, zadźwięczały rogi bojowe litewskie z zamku, czy popłynęły z murów uniwersyteckich promienista pieśń Filaretów?... Słuchają kamienne Jagiellony wzdłuż portyku katedry, na placu, gdzie duma Kazimierz.

Świątynia odwraca do niego dłuższy wymiar swego wielkiego czworoboku, który stoi tu, choć w zmienionym kształcie, od czasu jak Litwa Litwą, przykrywa swą arką przymierza zagasy pod chrześcijańskim ołtarzem ofiarniczy kamień Perkuna. Pod portykiem dawni dziedzice tej ziemi stoją nieśmiało, zagnani w mur, patrzą na wyrastające w pobliżu obce widma i snią kamienne, oczekując losu...

Obudzić to miasto, ten kraj! Odwołać ludzi od niepłodnych waśni, wskazać im wspólne cele i niebezpieczeństwa! Kazimierz



poczł w sobie wyraźne powołanie. W porywie ranka i młodości wszystkie pragnienia jego złąły się w jeden plan, dopełniając się i wspierając. Przeznaczonem zdało mu się zamieszkać tu, wojować tu dla obrotu swych upragnień, a ten nakaz miał dźwięk głosu Krystyny... Krew go ciągnęła tam, gdzie rozum cel wskazywał. Błogosławione są chwile w życiu, kiedy obowiązek zlewa się w jeden cel z pokusą serdeczną.

Już ludzie poranni zaczęli snuć się po placu, ozwały się z miasta turkoty kół ciaglejsze, od ogrodu dochodziła wrzaskliwa narada wróbbli nad planiem dnia nowego. A z murów wyższe zagadały dzwony.

XV.

Rokszycycki zbudzony został nieprzyjemnie przez niepokojące wiadomości o wuju. Ubrał się pośpiesznie i wszedł do pokoju, gdzie zastał Budziszę mocno chorego. Bredził w gorączce jakieś kazanie o stosunkach polskolitewskich, przemawiał zaś i po polsku, i po niemiecku, wymieniając imię Mitzi. Srodze był czerwony na twarzy, nie poznał wchodzącego Kazimierza, a w przystępach przytomności skarżył się na ból oczu i lewej ręki.

Nie brakło już Rokszycyckiemu znajomych między lekarzami, których napotkał odrazu i w Wilnie, jak u nas zwykle, w pierwszych szeregach czynnej inteligencji. Pośpieszył wezwać doktora Bernardowicza, cenionego zarówno dla swych zawodowych, jak obywatelskich i towarzyskich zalet.

Twarzą swą fałdzistą, przeżuwającą mądrość medyczną, wyrażał Bernardowicz natężoną troskę o tryumf nauki i o dobro pacjenta, ale twarz ta umiała również uśmiechać się do ludzi serdecznie i zasadniczo

— Kochany kraj!—szepnął Kazimierz—tu moja droga i życie.

K. GORSKI

przyjaźnie. Słynał też pan konsyliarz ze swych *lapsus linguae*, przychodzących z tak doskonałą bezwiednością, że w Wilnie już nikt się nie dziwił, gdy kochany doktor mówił: „święty Franciszek z anyżu” zamiast: z Assyżu.

Przepisy i sposoby, użyte przez lekarza dla ratowania pana Apolinarego, nie należą do literatury; historia tylko nakazuje powiedzieć, że chory poczuł natychmiastową ulgę i zasnął. Więc Bernardowicz przeszedł do pokoju Rokszycyckiego i gawędził:

— Wie pan, że wuj pański powinien trochę, tak—tak, wie pan, w swoim wieku, skłaniać się do Eleuzynii.

— Eleuteryi—chce doktor powiedzieć?

— Ach, przepraszam, do Eleuteryi.

— Czyli po polsku: nie powinien pić w nocy, ani zbyt się podniecać?

— Grozi mu to pęknięciem aorty—nie pomylił się tym razem Bernardowicz.

Rokszycycki, który dla prawidłowości dyagnozy musiał wyznać lekarzowi grzechy wuja z poprzedniego wieczoru i swój w nich, choć niechętny współludział, czuł się trochę skonfundowanym.

— Nie ma doktor pojęcia, jak trudno powstrzymać pana Budziszę, gdy go ponieście temperament.

— Tak, to już znane ponie-
kąd, wie pan — ja przenumeruję
kilka gazet warszawskich.

— Więc właśnie — ciągnął
Kazimierz — ponieważ wuj jest
dość znany, ma swych stronni-
ków, ale i nieprzyjaciół, mogłaby
powstać szkodliwa anegdota z tej
kolacyi.

— My i na to mamy, wie
pan, takie niewinne *antidotum*. Przy-
czyną zasłabnięcia pana Budzisz
była nadmierna praca mózgu.

— Tak — przystępował do
spisku Kazimierz — praca politycz-
na, złe wiadomości, depesza — coś
takiego. Kolacya i t. d. to szcze-
góły do pominięcia.

— Pewnie, pewnie — śmiał się
Bernardowicz — mózg wuja pań-
skiego jest szczegółem do pomi-
nięcia.

— Mózg?! Chyba kolacya?

— Co ja gadam! oczywiście
tego... kolacya. Przepraszam pa-
na, panie Rokszycki.

Śmiano się serdecznie, zwa-
szcza, że chory spał dalej spo-
kojnie.

— Licho nadało ten wypo-
dek! — odezwał się znowu Kazi-
mierz — miałem właśnie wuja za-
prowadzić do Litwinów ludow-
ców, a tu masz!

— Jako lekarz, wie pan, te-
go — nie radziłbym. Mogłby pan
Budzisz dostać ponownego ataku,
że tak powiem, apopleksyi.

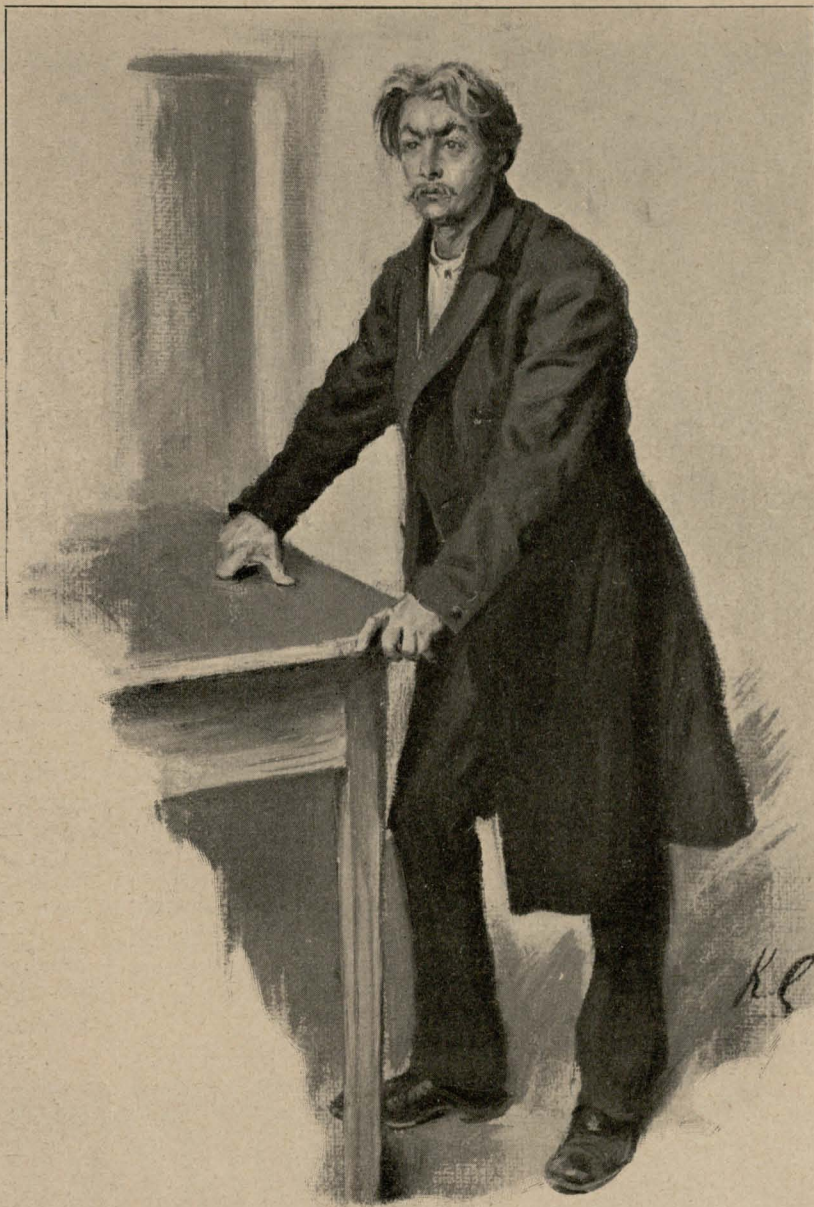
— E, znowu, panie dokto-
rze, wuj w dyskusyi politycznej jest wytrzy-
mały.

— Zawsze, przy obecnym zaburzeniu,
zalecałbym wstrzeźliwość w stosunku do
młodej Litwinki... to jest raczej tego, wie
pan... do młodej Litwy.

— To już chyba sam się do nich wy-
biorę, bom nawet zapowiedział.

— O to, to, wie pan, najlepiej będzie.
Z nimi temperament polemiczny na nic i na
argumentach nie bardzo się znają. Najlepiej,
wie pan, serdecznie. To dobrzy ludzie, chy-
ba że który już tam tego, że tak powiem...
ksiądz Ambrożewicz.

W kilka godzin później Rokszycki szedł
w kierunku do Śnipiszek przez dzielnicę
miasta, zupełnie zaniedbaną pod względem
planu i porządku. Mijał dworki wiejskiego
typu i proste chałupy, zaledwie ustawione
w krzywe linie ulic. Przy zakrętach tylko,
gdy przeblyskiwało górne miasto malownic-
zemi grupami murów, przypominał Kazimierz,
że nie opuścił stolicy Giedyminowej. Prze-
szedłszy Zielony most na Wilii, dotarł do
ulicy i domu, których szukał na Śnipiszkach.
Właściwie tylko parkan od ulicy oznaczony
był numerem posesyi, rozpadającej się na
kilka zaklętych w ziemię dworków, dokoła
wielkiego, zmarnowanego podwórza. Nie-
łatwo dopytał się Rokszycki, gdzie tu miesz-
ka pan Miłaknis, gdyż o stróżu nie było tam



I po niemem przywitaniu oparł się oburącz o stół

K. GORSKI

słuchu, a osada spała w słońcu snem głę-
bokim. Musiał zadzwonić do jakiegoś miesz-
kania na chybi trafi, tam mu dopiero wska-
zano inne, w przeciwnym dworku, które
zajmował Miłaknis.

W pokoju pustym, wśród nagich, bielo-
nych ścian, stał tylko prosty stół i dwa krze-
sła. Z drugiego pokoju przez drzwi uchylone
widać było łóżko, pływające w podobnej
pierwotności urządzenia. Pan Miłaknis
mieszkał tu, widać, jak ptak na gałęzi. Uka-
zał się niebawem, dość rostry, w czarnym,
długim surducie, w koszuli bez kołnierza
i krawata, ze zwichrzoną płową czupryną.
Patrzył z godnością i zarazem nieufnie na
dobrze ubranego, pogodnie uśmiechniętego
Kazimierza i po niemem przywitaniu oparł
się oburącz o stół, czekając na odezwanie
się gościa.

— Czy pan ma kwadrans czasu na roz-
mowę o ruchu litewskim? — zapytał Rokszycki
bez wszelkich wstępów.

— Proszę — odpowiedział Miłaknis, wska-
zując jedno krzesło i siadając na drugim.

Ci dwaj ludzie mniej więcej równego
wieku, mierzący się wzrokiem przez szero-
kość stołu, w pustym pokoju, wyglądali, jak
skryzalizowane w próżni okazy dwóch kul-
tur i dwóch szczepów. Znowu rozpoczął
Rokszycki:

— Mam zamiar częstego bywania na
Litwie, zwłaszcza w okolicach największej

uprawy lnu, a zarazem najgęstszej
osiadłości ludu czysto litewskiego. Pragnął-
bym jasno zrozumieć, cze-
go ten lud chce dla siebie i ja-
ki jest program jego przewodców
w stosunku do współobywateli
polskiego pochodzenia. Odsyła-
no mnie już kilkakrotnie po te infor-
macye do pana.

Miłaknis słuchał z natężoną
uwagą:

— Proszę, kiedy łaska, mó-
wić powoli. Ja znam język pol-
ski, ale nie przychodzi się często
używać.

— Wydało mi się — zaczął
mówić Rokszycki powoli i wyraź-
nie — że spór o język jest główną
treścią nieporozumienia, wynika-
jącego obecnie między współoby-
watelami na Litwie?

— Jest spór i o język, jest
i inny powód rozdwojenia. Pol-
ska agitacya stworzyła tu klasę
przeciwą interesom ludu.

— Tego ja nie rozumiem.
Co pan nazywa polską agitacją?

— Toż wiadomo: Polacy wy-
narodowali nas od kilku wie-
ków. Udało im się ze szlachtą,
ale lud nasz pozostał wierny Li-
twie. Teraz na całym świecie
rozpocznie się panowanie ludu,
a Polacy i opolaczona Litwa sto-
ją przy starych formach.

— Więc, według pana, dzia-
łania Polaków na Litwie są
wsteczne i niezgodne z duchem
czasu?

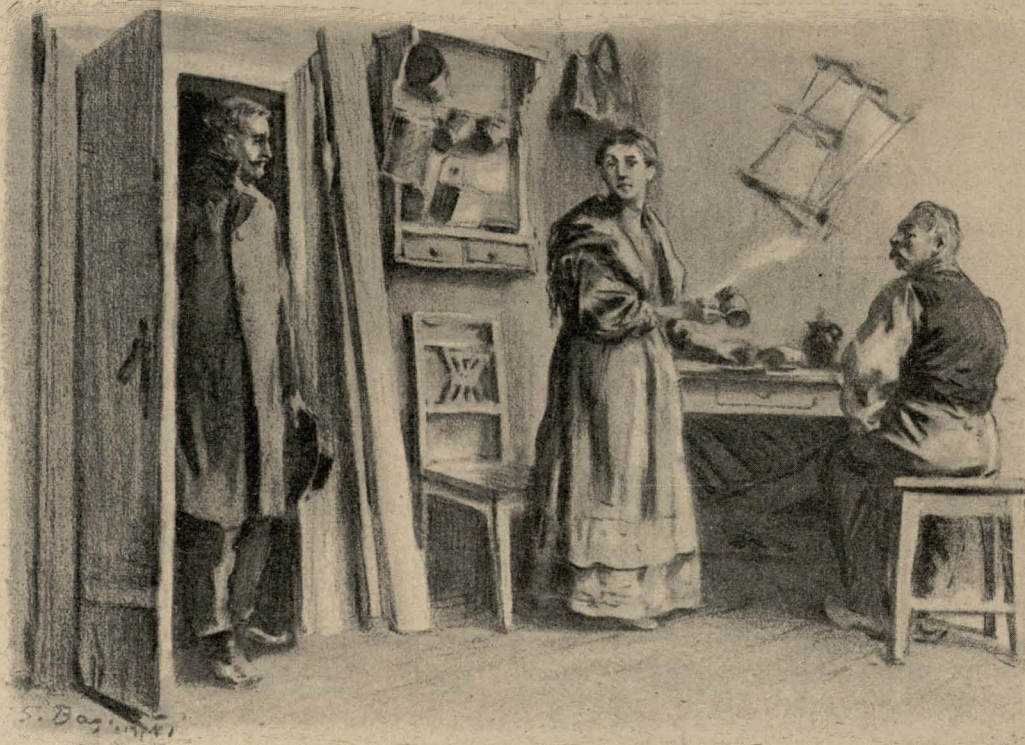
— Koniecznie. My tu innych Polaków
nie znamy. Jest kilku dobrochcących, ale
cóż znaczy kilku?

Rokszycki pominął ten ogólnik, chciał
bowiem dogadać się.

— Panie Miłaknis! Jest pan literatem
i publicystą. Ja, choć nim nie jestem, skoń-
czyłem uniwersytet i śledzę bieg spraw pu-
blicznych. Stać nas obu na to, abyśmy się
spotkali na gruncie obiektywnym, naukowym
i wymienili zdania. Spierać się z panem nie
pragnę, tylko zrozumieć, co pan nazywa wy-
naradawianiem, albo agitacją polską? Nie
mówi pan przecie chyba o polskiej kulturze,
szczepionej tu od wieków bez wszelkiej
przemocy, za wspólną zgodą obu narodo-
wości, o kulturze, która Litwę taką, jaka dziś
jest, poprostu stworzyła. To nie narzucona
niewola, to wasz własny dorobek, najpięk-
niejszy w dziejach przykład dobrowolnego
przyjęcia chrztu cywilizacyjnego od sprzy-
mierzonych sąsiadów. To zaszczyt i rozum
Litwy; przyczyna, dla której ona była nam
zawsze taką drogą, a my jej. Rozluźnianie
tych węzłów wypróbowanych i niezawod-
nych byłoby zabójstwem dla obu narodów,
a przedewszystkiem dla Litwy.

— Może tak było dawniej, panie Rok-
szycki, ale teraz inaczej: lud chce żyć swo-
jem życiem i nie pyta o historię. Zresztą
historię czyta każdy, jak jemu przyjemnie.

(DCN)



Pan Radyński zmierzył wzrokiem wchodzącego.

ST. BAGIEŃSKI

MARYA RODZIEWICZÓWNA:

KOLEGA SZOLL.

Przejęty do kości mrozem, Franciszek Niekrasz biegł prawie w późny ranek grudniowy przez puste jeszcze ulice z Pragi na Nowogrodzką. Miał na sobie wytarte letnie palto i dziurawe kamasze na nogach, a w brzuchu jeden kieliszek wódki. Rozgrzewki tej starczyło mu do mostu, potem dodawał sobie ciepła i otuchy nadzieją zarobku.

U bramy, w oknie sutereny zobaczył szyld stolarza i wszedł śmiało w brudną czeladź schodów, wiodących do piwnic i warsztatów. Korytarz był ciemny, wilgotny, duszny od wywiewów kapusty, węgla i nędzy, zapchany różnymi sprzętami i rupieciami. Z za jednych drzwi dochodził zgrzyt pilnika i kucie młotków, z za drugich warczenie tokarni i śpiew kanarka, wreszcie w głębi namacał klamkę trzecich drzwi i wszedł. Buchnęło nań ciepło i woń sosnowych desek.

Majster, p. Radyński, człek lat średnich, o twarzy otwartej i flegmatycznej, pił właśnie kawę z żoną i zmierzył wzrokiem wchodzącego. Mały, kasztanowaty piasek zagłuszył jego słowa powitania przeraźliwym szczekaniem.

Sutereana była obszerna, ale zapchana od góry go dołu. Cudem mieściły się w niej dwa warsztaty. Łóżko, sofa, parę wielkich szaf, biurko, stół, balia, kuchnia, deski i stos wyplatanych starych krzesel.

— A co tam? Czego potrzeba?—zagadnął bez wielkiej uprzejmości stolarz, poznawszy wprawnym okiem, że nie klient to był.

— Może dostanę robotę? Kolega Szoll mnie przysłał. Mówił, że pan pytał w gospodarstwie o czeladnika.

— To czemuż Szoll sam nie przyszedł? Na loteryi wygrał, że go nie widać od roku?

— W Łodzi robił. Razem tam byliśmy w fabryce u Grinberga.

— No i co?

— Ano sztrejk się zrobił, to zamknęli fabrykę.

— A Szoll gdzie teraz?

— Trafiła mu się wczoraj na kolei robota, więc do mnie wstąpił i powiada: mówili mi, że p. pan Radyński z Nowogrodzkiej potrze-

buje czeladnika. Idź się dowiedz, powiedz, że mnie znasz.

— Ano, mam tu zamówione dwie szafy dla jednych państwa. Będzie na parę tygodni roboty. Rubla dziennie dam, byle było za co.

— Pokaże się — odparł Franciszek z uśmiechem pewności siebie.

— Na rekomendację Szolla mogę przyjąć. A jakże nazwisko?

— Franciszek Niekrasz.

Majster wstał, zapalił papierosa i wziął linię i ołówek. Czeladnik zdjął palto, odwinął rękawy koszuli, był gotów do roboty.

Majstrowa, sprząając śniadanie, gospodarząc przy kuchni, bystro go sobie obejrzała.

Młody był, krzepki, choć bardzo chudy, z twarzą przystojną, sprytny, zuchwały. Pod paltotem nie miał surduta, tylko kamizelkę i wełnianą koszulę, zamiast kołnierza czerwony szalik. Bieda wyzierała z zapadłych policzków, z dziur odzieży, z oczu zaczerwienionych. Bieda, a może łobuzowstwo. Pokaże się.

Robić umiał. To wnet ocenił majster od pierwszego ruchu, gdy zaczął przycięte deski czyścić do hebla.

Obadwa stanęli do warsztatów, majstrowa do prania, piasek skreślił się w kółko na sofie i usnął. W suterenie słychać tylko było głos narzędzi i drzewa.

Robili już godzinę, gdy drzwi skrzypnęły. Kaktus podniósł swój alarm najprzeróżliwszym dyszkantem, i wszedł człek niemłody, siwy, zgarbiony i bez słowa począł zdejmować palto.

— Niedługo od południa będziesz zaczął:—mruknął Radyński.

— Albo mi to źle leżeć? Przecie zrobili po to rewolucję, żebyśmy zostali burżujami. Smakuje mi. Tyle miejsca mam teraz w swoim lokalu i tak cicho. Spać można.

— Już się wstawił, widzę!
— Jeszcze nie sprawił do lamp spirytusowych brenerów, to chlam spirytus, a nie palę.

— No, zaczynaj zamiast gadać!—ozwała się Radyńska.

Stary wziął trzcinę, krzesło i zaczął je wyplatać, ale nie mógł długo milczeć.

— A co, widzę, Szolla nie znalazłeś! — rzekł do Radyńskiego, który mu szwagrem był.

— A nie. Przysłał mi tego pana znajomego.

— To żyje Szoll! Patrząjcie! Gadali, że zabity.

— Był z tym panem Franciszkiem na fabryce w Łodzi, a teraz gdzieś na kolei robi.

— Że to się nie pokazał sam?

— Może u Duchasa był?

— Nie. Widziałem onegdaj starego, toby chłopca wspomniał. Ale to w Łodzi zła akademia, kiedy i Szoll zepsiał.

— Łódź, wiadomo, podłe gniazdo chamskie—rzekła Radyńska.

— A czemuż chamskie? — odezwał się Niekrasz. — Porządne ludzie też tam są, nie gorsze, niż w Warszawie.

— Jużci, że na dwóch nogach chodzą, jak inni.

— A to pan z Łodzi?—spytał stary.

— Nie, alem tam długo był, od maleńkości. Starzy tu mieszkają, na Pradze.

W tej chwili do izby weszła dziewczynka, może ośmioletnia, dźwigając spory koszyk.

— No, trafiłaś?—spytała majstrowa.

— Pani kazała powiedzieć, żeby ciocia przyszła we wtorek.

— Rozbierz się i masz tu kawę. A śpiesz się, bo do ochrony pora!

Dziecko przykucnęło w kąciu, przyglądając się obcemu.

— A ty wiesz, Zuziu, że ten pan to znajomy pana Szolla—rzekł stary wyplatacz.

— A pan Szoll zdrow? A kiedy do nas przyjdzie?—zagadnęła z żywością, podnosząc na obcego zaciekawione oczy.

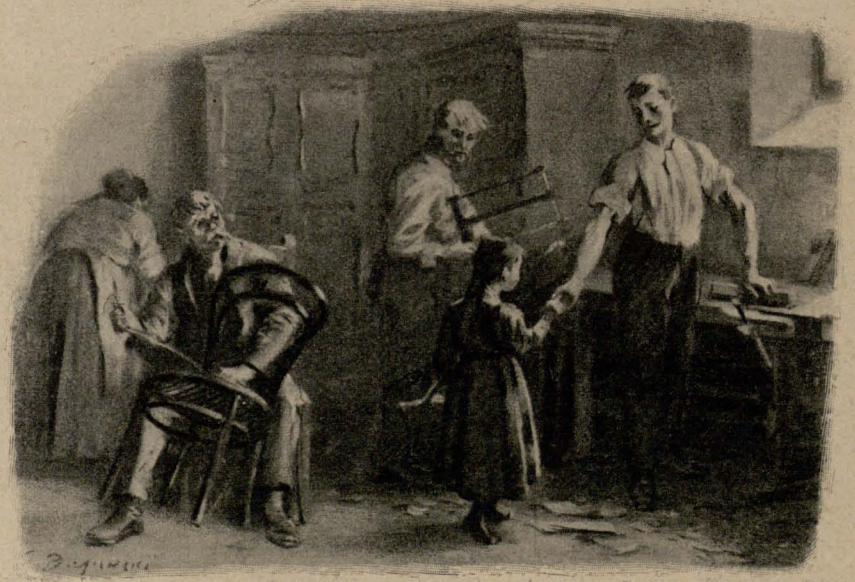
— A ty, mała, skąd go znasz?—uśmiechnął się.

— A toć on ją za trzy ruble kupił i nam darował. Nie opowiadał to panu?—rzekła majstrowa.

— Nie. Pierwsze słyszę. Dzieci to kto kupuje!

— Ruszaj, Zuziu, do ochrony—nagliła majstrowa.

(DCN)



Stary wziął trzcinę, krzesło i zaczął je wyplatać.

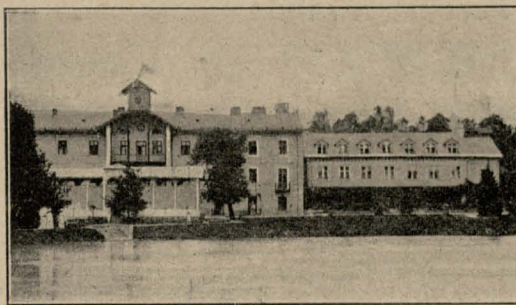
ST. BAGIEŃSKI

NAŁĘCZÓW.

W dwóch numerach poprzednich *Tygodnika* podaliśmy informacje o Nałęczowie, jako o zakładzie, urządzonym na letnisko, oraz miejscowość kuracyjną.

Artykuł dzisiejszy poświęcimy wskazówkom, najbardziej obchodzącym kuracjuszków, którzy do tej pory nie uczęszczali jeszcze do Nałęczowa. Mamy tu na myśli *wskazania lecznicze* dla pacjentów tutejszych.

Zakład więc leczy *choroby*: 1) *nerwowe* (zwykle bywa 60% leczących się), dalej: neurastenię, histeryę, chorobę Basedowa, początki *tabes'u*, astmę nerwową, neuralgię, migreny, nerwice serca, nerwice żołądka i kiszek, nerwowość, niemoc płciową i wszelkie nerwice na tle płciowym, (*neurasth. sexualis*). *Wyłączone są choroby umy-*



Nałęczów. Zakład.

słowe i epilepsya (zwłaszcza z częstymi atakami).
2) *Choroby wewnętrzne* (25% chorych):

anemia, blednica, otyłość, artretyzm, cierpienia żołądka i kiszek, niektóre cierpienia serca, rekonwalescencya po ciężkich chorobach i ogólna wrażliwość organizmu, usposobienie do przeziębienia. *Wyłączone są choroby ostre i gruźlica.*

3) *Choroby kobiece* (15% chorych): upławy, zaburzenia w menstruacji, pozostałości po zapaleniach.

Nadmienimy jeszcze, iż zakład jest otwarty przez cały rok. *Sezon letni* liczy się od 1 czerwca do 1 października. *Sezon zimowy* trwa od 1 października do 1 czerwca.

Koszt utrzymania z leczeniem wynosi w lecie od 4 rub. i w zimie od 3.50 rub., gdyż w zimowym sezonie kąpiel i mieszkania są znacznie tańsze.

NADESŁANE.



STANISŁAW KRAUSE i S^{KA}

FABRYKA I MAGAZYN
WSZELKICH PRZYBORÓW DO PODRÓŻY

Warszawa, Królewska № 1 (róg Krakowsk.-Przedm.)
JEDYNA W KRAJU FABRYKA KUFRÓW TRZCINOWYCH.



NAJWYTWORNIEJSZE
PERFUMY BEZSPIRYTUSU
Z KWIATU „KONWALIA”
F. PROCHASKA PRAGA.

KSIĘGARNIA Fr. RACZKOWSKIEGO
w UBLIN, KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE 36,
pierzszła na własność
GEBETHNERA i WOLFFA



DLA CAŁUSA

jest stworzoną delikatną, czystą twarz o rumianym, młodociano-świeżym wyglądzie, białej, jak jedwab miękkiej skórze i oślepiająco pięknej cerze bez piegów i skórnych nieczystości, używajcie zatem tylko prawdziwe
Mydło z mleka liliowego „Konik”
wyrobu Bergmann & S^{KA}, Radebeul-Drezno.
Dostać można wszędzie po 50 kop. za sztukę.
Główny skład na Państwo Rosyjskie:
Biuro chemicznych preparatów, St.-Petersburg, Newski 28, dom Singera.



**Płaszcz, Peleryny,
Obawie amerykańskie**
poleca magazyn nowości
ZDZISŁAW ZDANOWICZ
w Krakowie, ul. Sławkowska 13

Sanga **KALODONT**

Niezbędny krem do zębów
Utrzymuje zęby białe, czyste i zdrowo.

Żądać wszędzie

Poleca własnego wyrobu **Kakao** w proszku,
G. G. LARDELLI Czekoladę **Mleczną-Unique**, **Czekoladki Deserowe**, oprócz Wyrobów Cukierniczych.
Boduena 5. Nowy-Swiat 27.

HENRYK MICHAUX
LEKARZ DENTYSTA
Warszawa, Foksal Nr 15. Telefon 69-80.

C. Skoryna Fabryka maszyn i kamieni młyńskich budowa młynów, Turbin, Transmisji i t. p.
Warszawa-Praga
OLSZOWA 14, Tel. 49.

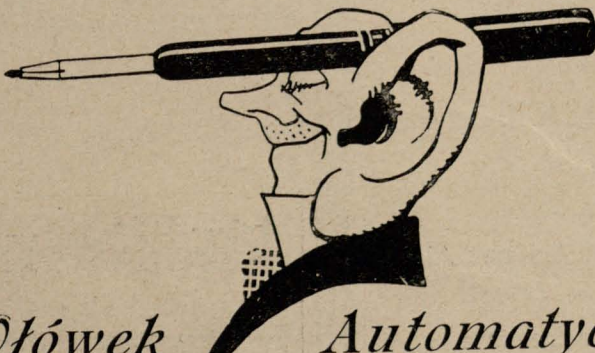
MAGAZYN KRAWIECKI
SZWAŁBE SACHS
ANGIELSKIE PALTA; GARNITURY
GOTOWE i NA OBSTALUNEK
SENATORSKA 8. TELEFON 67.17.

MEBLE

ZAŁĘSKI i S-ka
Warszawa, Erywańska Nr 2,
parter, 1 i 2 piętro. Telefon 16-39. Rok założ. 1870.

ZDROWIE niezniszczalne można pozyskać przez ćwiczenia psychofizyczne, opisane w nowym dziele **WINCENTEGO LUTOSŁAWSKIEGO** p. t. **„ROZWÓJ POTĘGI WOLI”**, wydane nakładem Gebethnera i Wolffa. Cena w oprawie rub. 1.20.

GABINET ŚWIATŁOLECZNICZY
D-ra ROBERTA BERNHARDTA
ordynatora szpitala św. Łazarza
WARSZAWA, FOKSAL 15. TELEFON 14.54.
Leczenie chorób skóry i włosów promieniami Rentgena, Finsen-Kromayer'a, Radium i elektrolizą, Arsonizacja. Choroby weneryczne.



Ołówek *Automatyczny*

Penkala

WYRÓB KROACKIEJ FABRYKI W ZAGRZEBIU—jest wynalazkiem nadzwyczaj ciekawym, nie wymaga ani TEMPEROWANIA, ani wykręcania. Ołówki kolorowe niebawale CIENKIE i TRWAŁE. ELEGANCKIE proste i nie do zużycia. Do nabycia wszędzie. CENA 50 kop.

Główni reprezentanci na Cesarstwo i Królestwo Dom Handlowy

NACHTLICHT i KAMIENSKI

Warszawa, Tłomackie Nr 1, Telefon 17-71,

J. WAPIŃSKI MAGAZYN JUBILERSKI Krakowskie-Przedmieście Nr 19 dom własny

S. GLIŃSKI 41 Nowy-Świat 41

Poleca:

Pastę „BON TON,” Szuwaks, Smarowidło i Glazurę do obuwia, Pomadki, Proszki i Płyn „FENOMEN” do czyszczenia metali, Atramenty, Tusze, Gumę arabską, Oliwę do maszyn i t. p.

ODPOWIEDZI

I RADY POUFNE DLA PAŃ.

P. Stefani. Kto ma skłonność do piegów, corocznie walczyć musi z tą plagą; niema środka, któryby je usunął raz na zawsze. Ze wszystkich jednak znanych najpewniejszym okazał się *Lanol Klimeckiego*, mający tę przewagę nad innymi tego rodzaju preparatami, że działa łagodnie, nie drażniąc skóry. Chcąc przyspieszyć kurację, należy wziąć do pomocy *mydło Ogórkowe Karpinskiego*, myjąc się niem rano i na noc przed użyciem *Lanolu*. Mydło *Karpinskiego* wyróżnia się od innych mydeł ogórkowych wykwintnym zapachem i ściślością, przez co mydło jest twarde, nie rozmięka i może być użyte do ostatniego ździebka.

P. W. Z. Abarid, w ścisłym znaczeniu wyrazu, kosmetykiem nie jest. To galareta, otrzymana z cebulek białej lilii, lekko zapachniona. Żaden preparat kosmetyczny, mówimy z doświadczenia, nie posiada takich własności udelikatniających, jak *Abarid*. Używany przytem codziennie na noc przy lekkim wcieraniu, zapobiega tworzeniu się zmarszczek na twarzy. Aplikowany zaś ściśle według przepisu, dołączonego do każdej dozy, usunie zmarszczki już zarysowane.

Nie dowierzającej. Jeżeli cebulka włosowa jeszcze istnieje, włosy odrosną, ale trzeba im do tego dopomóc, przede wszystkim umyć głowę ciepłą wodą z mydłem, które należy dokładnie spłukać; co drugi zaś dzień zwilżyć głowę *Esencją Tataro-Chmielową*, uważając, ażeby nie tak włosy, jak skóra, była namaszczona. Po dwóch tygodniach znów umyć głowę, a *Esencję* używać co trzeci dzień. W ten sposób łupież zniknie, i włosy wzmocnią się znakomicie. *Esencja Tataro-Chmielowa* jest wyrobu Centralnego Laboratorium Chemicznego w Warszawie. Dostać można wszędzie.

Do Wszystkich. Z chwilą wprowadzenia rubryki *Rad poufnych* jesteśmy zasypywani listami. Dla ułatwienia segregacji listów prosimy na kopercie dodawać: Dla pani *Mercédès*.

P. Z. Z. w Kaliszu. Główna reprezentacja i skład *Abaridu* w perfumeryi *Perfection* w Warszawie, ul. Szpitalna 10. W tymże samym składzie dostanie Pani tak modnych dzisiaj perfum bez alkoholu, tem dla nas sympatyczniejszych, że sprowadzanych z Francji. We wszystkich innych perfumeryach wyłącznie niemieckie.

Mercédès.

FORTEPIANY, PIANINA, PIANOLE
ORGANY, MELODYKONY
GEBETHNER i WOLFF
Warszawa, Krak.-Przed. 17

Farbiarnia Parowa, Pralnia Chemiczna i Dezynfekcja Ch. GEBER w Grochowie

Magazyny w Warszawie: Niecała Nr 9; Nowy-Świat Nr 49; Sienna Nr 2a; Leszno Nr 4; Długa Nr 19; Chłódna Nr 18; Dzika Nr 7; Praga Brukowa Nr 32. Filie: Łódź, Zielona Nr 5; Częstochowa, II Aleja Nr 34.

Zadanie, mające za cel wywołanie porostu włosów, pozostało dotychczas nierozwiązane, pomimo poważnej i opartej na zasadach naukowych pracy w tym kierunku. A jednak są pewne pomysłyne wyniki w tej mierze. Nie ulega bowiem wątpliwości, że można spowodować

porost włosów

jeśli istnieje jeszcze t. zw. cebulka. Chodzi tylko o środek wzmacniający, czyszczący skórę i usuwający łupież. Te właśnie zalety posiadają esencja i MYDŁO „TATARO-CHMIELOWE”, wyrabiane w Centralnym Laboratorium Chemicznym (Czekay i Kryświcki) w Warszawie przy udziale sił Lekarskich. Sprzedaw w składach aptecznych.



E. UNIERZYSKI

CHMIELNA Nr 3

poleca Skórzaną galanterię i przybory podróżne.



Lekarz dentysta **STEFAN ŻYCKOWSKI** NOWOGRODZKA № 26
Telefonu 167.49.

PASTILLES

DE

TAMAR INDIEN GRILLON

PARIS, 33, RUE DES ARCHIVES.

We wszystkich składach aptecznych i aptekach.

Owoc przeczyszczający
PRZECIW

OBSTRUKCYI

Sprzedaje się w pudełkach po 12-cie pastylek i pół-pudełkach po 6 pastylek z podpisem

POŁĄGA

pensjonat Laury Colonna Walewskiej, willa „Świtęż” nad brzegiem morza. Pokoje, wygodnie urządzone, od 50 kop. do 3.50 dziennie, sezonowo od 30 do 150 rb., kuchnia wykwintna, całodzienne utrzymanie rb. 1 kop. 75, w „Świtęży”.

Wynajem mieszkań z kuchniami w willach hr. Zofii Tyszkiewiczowej. Warszawa, Hortensya 5, m. 8. Telefon 11-10, od 4 do 6.

DLA PRENUMERATORÓW „TYGODNIKA”

mamy na składzie

Okładki ozdobne DO PÓLROTCZY „TYGODNIKA”

po rub. 1, z przesyłką i opakowaniem rub. 1.35.

piękne artystyczne teczki

do albumu „DUCH REWOLUCYONISTA” A. Kamińskiego

po rub. 2, z przesyłką i opakowaniem 2.60.

Do cyklu „BOŻY ROK” Piotra Stachewicza

po rb. 1.50, z przesyłką i opakowaniem rb. 2.

KSIĘGARNIA FR. RACZKOWSKIEGO W LUBLINIE, Krak.-Przedmieście 36
przeszła na własność GEBETHNERA i WOLFFA.

Bracia ŁOPIEŃSCY POLECAJĄ BRONZY SALONOWE I KOŚCIELNE MAGAZYN KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE Nr 15 Tel. 21.90

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesłanych do redakcji, nie zwraca się

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa.

KSIĘGARNIA

GEBETHNERA i WOLFFA

w Warszawie

poleca:

WYBÓR POEZYI

ARTURA OPPMANA (OR-OTA)

wydanie nowe zmienione i powiększone, z portretem autora.

Cena rb. 1.50, w ozdob. opr. rb. 2.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

KLAWIOL na odciski plyn lub plaster - świetnie!
Apteka Kowalskiego, Graniczna 10 i wszędzie

HURTOWY I DETALICZNY
SKŁAD SUKNA I KORTÓW

LEONA MESSINGA

MIODOWA № 7

poleca modne materyały krajowe i angielskie. Na prowincję wysyła za zaliczeniem pocztowem.

Dr. JAN KIELKIEWICZ powrócił.
Choroby dróg moczowych. Oświetlanie pęcherza i cewki dla celów dyagnostycznych i leczniczych, do 10 rano i od 5-7 p. p. UL. NOWOGRODZKA 37

Dr JAN LATINIK

ordynuje od maja do października w KARLSBADZIE „Raphael”.



**LUDWIK SZUFA
KRAWIEC**
KRAKOW TELEFON 671

Magazyn Sukien i Okryć Damskich
Władysławy Kwiatkowskiej

Przeniesiony z Chmielnej 9

na Plac Św. Aleksandra 14 (Telefon 7383)

Poleca gotowe: Suknie wizytowe, Kostiumy angielskie, Bluzki od skromnych do najstrojniejszych, Spódnice do bluzek, Paski, Zaboty. Zamówienia przyjmują się z własnych i powierzonych materyałów.

Księgarnie Gebethnera i Wolffa

W WARSZAWIE,

Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9

pośredniczą

w prenumeracie pism

krajowych i zagranicznych

po cenach redakcyjnych.